

G A Z E T K A
Z E S P O Ł U S Z K Ó Ł
S I Ó S T R
N A Z A R E T A N E K
2 / 2 0 1 6



Siedlisko



WAKACJE!

Julian Przyboś

Lipiec

*Na świadectwach, wzbici w radość, odlecieli uczniowie,
drży powietrze po ich śmigłym zniku.*

*Wakacje, panie profesorze! Pora
trzepać wesoło słowa jak futra na wiosnę
oraz
czasowniki przez dni lata odmieniać!...*





FESTYN SZKOLNY

„Miłosierdziem połączeni”

19 czerwca w naszej szkole odbył się Festyn Szkolny. „Miłosierdziem połączeni” - to tegoroczne hasło przewodnie wydarzenia. Impreza w tym roku była organizowana przez Radę Rodziców, a nie jak zawsze przez Szkolne Koło Caritas.

Miejscem pikniku było boisko szkolne, na którym stała duża scena. Prowadzącymi całe wydarzenie byli rodzice uczniów (p. Agnieszka Wróblewska – Łuczak oraz p. Arkadiusz Żurek).

Podczas tegorocznej imprezy mieliśmy dwa cele:

1. zebrać pieniądze na wyjazd wakacyjny dla dzieci z naszej szkoły,
2. pomóc finansowo Siostrze Nazaretankom przy tworzeniu Domu Samotnej Matki w Rabce.

Na pikniku nie zabrakło wszelkiego typu atrakcji. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Dużą popularnością cieszyło się stoisko z farbami do malowania twarzy. Aby mieć pomalowaną twarz, trzeba było czekać w bardzo długiej kolejce, mimo to wszyscy dzielnie oczekiwali na swoją kolej. Jeśli ktoś chciał uwiecznić to wydarzenie zdjęciem, miał do tego idealną okazję. Otóż na górnym boisku stała fotobudka. Kolejną atrakcją było stoisko z kubeczkami. Można tam było nauczyć się układać kubeczki na czas. Najlepsi w tej konkurencji zostali potem nagrodzeni kostkami Rubika.

Najmłodsi najczęściej odwiedzali stoisko z balonami z helem.



Już od kilku lat swoje wyroby sprzedaje na pikniku Stowarzyszenie Najświętszej Rodziny. Na tegorocznym festynie hitem okazał się sok z natki pietruszki. Wiele dzieci obawiało się smaku tego napoju, lecz po spróbowaniu od razu wszystkie kupowały więcej. Oprócz tego Stowarzyszenie sprzedawało: torby, koszulki, breloki z hasłem tegorocznego festynu i inne upominki.

Każdy, kto podczas imprezy zgłodniał, mógł spróbować przepysznych wypieków lub kielbasek z grilla. Natomiast wszyscy spragnieni udawali się do stoiska z lemoniadą.

Ale i tak największym zainteresowaniem cieszyła się loteria fantowa. „Szczęśliwych Numerków” było ponad 700. Losy skończyły się jednak bardzo szybko i niestety nie każdemu udało się spróbować szczęścia.

Chętni mogli także nauczyć się izraelskich tańców uwielbienia.

Jedną z najbardziej wyczekiwanych atrakcji na festynie był Finał „The Voice of Nazareth”. Uczestników podzielono na trzy grupy wiekowe: klasy I-III, IV-VI i gimnazjum. Zwycięzcami zostali: Emilia Małysa (III „a”) i Franciszek Ślaskowicz (I „b”), Lena Głód (VI „b”), Alicja Pohl (II „b” gimnazjum), II miejsce zajęli: Maja Żurek (III „b”), Alicja Tomczyk (I „b” gimnazjum), Kamila Kazior (II „b” gimnazjum), III miejsce: Piotr Landowski (I „b”), Małgorzata Kazior (VI „a”), Karolina Bajor (VI „a”), Aleksandra Szmolke (II „b” gimnazjum). Co ciekawe, to nie tylko Jury oceniało występy uczestników, robiła to także publiczność. Pod koniec festynu ogłoszono, że nagrodę publiczności otrzymuje Emilia Małysa z klasy III „a”.



Podczas festynu odbyła się także licytacja portretów świętych oraz gadżetów znanych sportowców, np.: piłkę Bartosza Kapustki sprzedano za około 800 zł!

Nauczyciele wychowania fizycznego, jak co roku, zorganizowali dla uczestników wiele konkursów sportowych (m.in. strongman, skakanie w workach itp.).

Impreza nie mogła obejść się bez przedstawienia. Koło teatralne klas I gimnazjum pod opieką pani Urszuli Koziańskiej przygotowało niezwykle spektakl pt. „Którędy do nieba”.

Na koniec festynu odbyło się najbardziej wyczekiwane LOSOWANIE NAGRÓD GŁÓWNYCH. W tym roku organizatorzy skupili się na tym, aby nagrody dały możliwość zwycięzcom spędzenia czasu z rodziną. Otrzymane prezenty to np.: bony na kolację w restauracji, karnet na rejs statkiem po Wiśle, wizyta w kopalni soli w Wieliczce i wiele innych.

Na zakończenie trzeba przyznać, że tegoroczny festyn był naprawdę wyjątkowy. Myślę, że na twarzy każdego, kto pojawił się na imprezie, uśmiech gościł do końca dnia.

(Zuzanna Rabajczyk, VI „a”)





WYWIAD Z SIOSTRĄ ANETĄ SZOT - WICEDYREKTOREM NASZEJ SZKOŁY



Siostra Aneta Szot - wychowawczyni klasy III „a”, wicedyrektor naszej szkoły i wyjątkowa nauczycielka.

- Jakie jest Siostry najlepsze wspomnienie z dzieciństwa?

- Najlepsze? Ja mam bardzo dużo wspomnień. Myślę, że pierwsza Komunia Święta, bo to było takie wydarzenie, na które się czeka, i to, kiedy nauczyłam się jeździć na rowerze.

- Czy lubiła się Siostra uczyć?

- To zależało od pory roku. Na wiosnę i lato trzeba było pracować w polu i pomagać rodzicom, więc lubiłam się uczyć, a zimą i jesienią nie było tej pracy i wtedy nie za bardzo lubiłam się uczyć.

- Kiedy Siostra zdecydowała się zostać siostrą zakonną?

- W „zerówce”. Trwała katecheza w salce katechetycznej i mieliśmy program już nie pamiętam jaki... Chyba na Dzień Mamy. Tańczyliśmy krakowiaka. Ja tańczyłam z moim kolegą –Jaśkiem. Bardzo przejęliśmy się tym tańcem i przewróciliśmy się na środku podczas próby. Dostaliśmy od Siostry za to burę. Wtedy sobie pomyślałam, że gdybym była siostrą, to na pewno nie taką, która krzyczy na dzieci. Potem w ogóle o tym zapomniałam i tak naprawdę, jak byłam w ósmej klasie, to trochę o tym myślałam, ale pewna byłam dopiero po skończeniu studiów.

- Kiedy Siostra spotkała swoją pierwszą miłość?

- Jezu... pierwszą miłość? No to myślę, że to chyba był ten Jasiek, bo wiecznie razem

tańczyliśmy, wracaliśmy razem ze szkoły, popychaliśmy kolegów do rowu, mieszkaliśmy blisko i chodziliśmy razem na różne grandy, np. na jabłka do sąsiadów, więc myślę, że to chyba był ten Jasiek.

- Kiedy Siostra zdecydowała się zostać nauczycielką?

- Tak właściwie to jakoś tak samo się zdecydowało. Raczej chciałam studiować biologię, nawet zdawałam na studia, ale się nie dostałam. Podobnie jak dziś, kiedyś było bardzo dużo chętnych na ten kierunek i żeby nie stracić roku, to poszłam do studium nauczycielskiego. I wtedy tak naprawdę polubiłam tę pracę. To było studium dla przedszkolaków, więc nie miałam jeszcze pojęcia o pracy w szkole, ale jak już zaczęłam tam pracować, to wiedziałam, że chcę być nauczycielką.

- Jaki przedmiot lubi Siostra uczyć najbardziej?

- To zależy, chyba najbardziej matematykę.

- Jaki był Siostry ulubiony przedmiot w dzieciństwie?

- Wf, to jest chyba ulubiony przedmiot szkolny każdego dziecka. No... myśmy nie mieli komputerów, ale gdyby one jednak były, to też informatyka byłaby moim ulubionym przedmiotem, ale nie była. Lubiłam też muzykę i polski. Za to nie przepadałam za matematyką.

- Czy lubi Siostra być wychowawczynią?

- O bardzo lubię, bardzo.

- A dlaczego?

- W sumie to nigdy się nie zastanawiałam, dlaczego. Chyba dlatego, że tak naprawdę to... nigdy nie próbowałam w tym małym człowieku szukać czegoś, tylko zawsze starałam się wyciągnąć „to coś”. Zwłaszcza to, co dobre. I najzwyczajniej dlatego, że dzieci są szczerze, oddane, piękne, mają ciekawe pomysły i w ogóle są najukochańsze na świecie. Po prostu bardzo lubię moją pracę.

- Czy uczenie sprawia Siostrze przyjemność?

- O tak, to jest chyba jedyna rzecz, którą najlepiej umiem robić... no może jeszcze dobrze sprzątam i koszę trawniki. Ale uczenie chyba najlepiej mi wychodzi.

- Jak Siostra ocenia swoje dzieciństwo?

- Myślę, że miałam bardzo dobre dzieciństwo. Miałam i mam kochającą rodzinę, rodzeństwo. Wszyscy się wspieramy i spotykamy u mamy, kiedy się tylko da. Myślę, że to było piękne, ale na pewno moje dzieciństwo było inne niż dzisiejsze. Mieliśmy różne szalone pomysły. Na przykład postanowiliśmy (ja i moi koledzy) kiedyś, że zapalimy ognisko pod stodołą u mojego dziadka. Na szczęście stodoła ocalała, gorzej było z naszymi tyłkami.

Na wsiach dawniej nie było wózków dla dzieci, tylko kołyski. Mieliśmy takiego malutkiego kuzyna i zdecydowaliśmy, że pobujemy go trochę w tej kołysce. I żeśmy go tak „bujnęli”, że po prostu ta kołyska przewróciła się razem z nim. Wtedy też mieliśmy awanturę.

Uczyliśmy jeździć moją kuzynkę na rowerze i ustawialiśmy specjalnie taką trasę, żeby w pokrzywy wpadła.

Mieliśmy mnóstwo pomysłów. Bawiliśmy się naprawdę świetnie. Uważam, że moje dzieciństwo było naprawdę dobre... PIĘKNE. Naprawdę nie chciałabym mieć innego. Jak teraz patrzę na was i na to, że się nudzicie i nie wiecie, co ze sobą zrobić, to...my po prostu tak nie mieliśmy. Zawsze ktoś miał jakiś pomysł. Ale wcale nie polecam palenia ogniska pod stodołą u dziadka!!!

- To prawda, nasze dzieciństwo nie wydaje się być aż takie kolorowe. Bardzo dziękuję Siostrze za poświęcony czas i za bardzo miłą rozmowę.

- Nie ma za co i ja również dziękuję.

Wywiad przeprowadziły:

Julia Libera, VI „a” i Ewa Niemczycka, VI „a”



MOJA PASJA... KONIE!

Końskie rekordy Guinnessa

Pewnie wiele razy słyszeliście o rekordach pobijanych przez zwierzęta. Psy, koty, świnki morskie, a konie? Dziś chcę wam przedstawić kilka końskich rekordów.

Najstarszy koń na świecie

Najstarszym koniem na świecie był Old Billy. Dożył on 62 lat. Urodził się w 1760 r., a padł w 1822 r. Drugim rekordzistą jest wspaniały Shayne rasy Irish Draught, przeżył 51 lat.



Największy koń na świecie

Największym koniem na świecie jest Big Jake rasy belgijskiej, mierzący aż 210,2 cm. Odebrał on ten tytuł Noodiemu mieszkającemu w Australii. Noodi mierzy 205 cm.



Oto Noodi.



A to Big Jake.

Najmniejszy koń na świecie

Najmniejszym koniem jest Einstein. Gdy się urodził, **ważył** zaledwie **2,7 kg** i **mierzył 35,5 cm wysokości**. Zwrócono uwagę, że ten mały kucyk może bez problemu odebrać Calineczce (najmniejszemu koniowi świata) tytuł, lecz by to zrobić, musi najpierw skończyć 4 lata.



Najdłuższy koński ogon

Właścicielką najdłuższego ogona na świecie jest klacz JJS SummerBreeze. Ma on długość 3,81 m.

Najwyższy koński skok

Rekord świata na najwyższy skok konia wynosi 2,47 m. Przeszkodę taką pokonał kapitan Alberto Larraguibel Morales na koniu Huaso 5 lutego 1949 r. w Santiago w Chile.

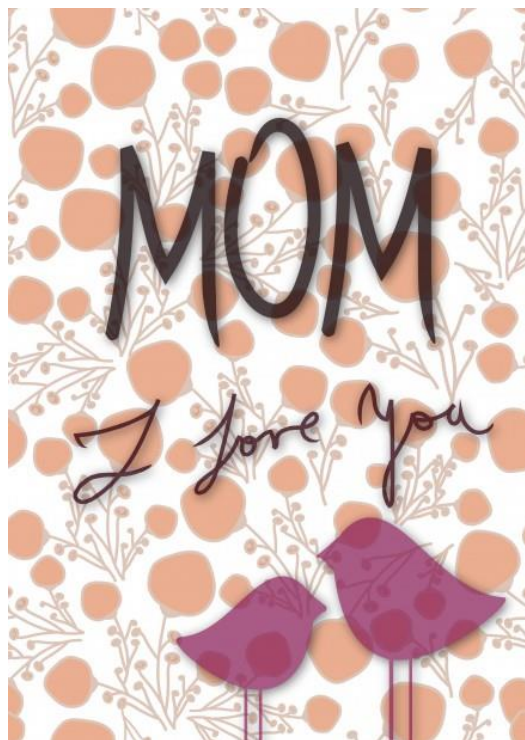
(Konstancja Kozińska, V "a")

To już było...

Dzień Matki

Chociaż współczesna forma święta jest stosunkowo młoda, to w różnych kulturach na przestrzeni wieków istniały święta poświęcone macierzyństwu. Starożytne kultury miały własne święta ku czci matek, często reprezentowanych przez boginie-matki urodzaju. Frygowie obchodzili święto poświęcone Kybele – bogini urodzaju, wiosny i miast obronnych, bogini matce. U Greków podobną rolę pełniła Reja (także Rea). Niektóre ze starożytnych obchodów przetrwały do dziś, np. w Indiach. W tradycji hinduskiej ważną rolę odgrywa święto Durgapudża, czyli obchody ku czci bogini Durgi.

W XVI wieku rozwinął się zwyczaj odwiedzania rodzinnych stron i brania udziału w mszy odprawianej w „kościelnie-matce” w czwartą niedzielę Wielkiego Postu, tzw. Laetare, czyli z łac. radować się. W Anglii niedzielę tą nazywano Mothering Sunday. Wizyta w rodzinnych stronach wiązała się, oczywiście, z odwiedzinami rodzinnego domu, spotkaniem z matką i ojcem.



Współczesna forma święta wywodzi się ze Stanów Zjednoczonych Ameryki i została zapoczątkowana za sprawą Anny Jarvis z Filadelfii, która zorganizowała 12 maja 1907 r. nabożeństwo na cześć swojej zmarłej matki, działaczki na rzecz kobiet. Przeprowadzona przez nią kampania, mająca na celu popularyzację obchodów Dnia Matki, przyniosła spodziewany rezultat i już po kilku latach większość stanów obchodziła to święto w drugą niedzielę maja, a w 1914 r. prezydent Woodrow Wilson uczynił je świętem państwowym. Początkowo święto to miało na celu szczególne uszanowanie matki, docenienie jej wysiłków włożonych w wychowanie dzieci, jednak szybko uległo ono komercjalizacji (przyjął się zwyczaj wysyłania kartek z życzeniami i kupowania kwiatów lub prezentów).



Karol Wojtyła
To matka?

Choć posiwiaty ciemne jej sploty,
Chociaż zmarszczkami twarz jej pokryta,
Chociaż wdzięk lekki straciły kroki,
Lecz w oczach tenże uśmiech zakwita,

Ta sama miłość w sercu jej płonie,
Co wiek swój, słabość, zapomnieć każe,
Tylko do dzieci wyciąga dłonie,
I wszystko oddać gotowa w darze.

I choć na nogach ledwo się stania,
Mnie spocząć każe, "... boś ty zmęczona,
Ty tyle dzisiaj miałaś biegania..."
I tuli dziecko swoje w ramionach.

I zawsze czujna, ciągle gotowa
Pomagać dzieciom swym do ostatka,
Miłość swą w czyny zdobi, nie w słowa -
- To ma jedyna, najdroższa matka!

Niezależnie od tego, czy ulegniemy komercyjnej stronie Dnia Matki, z pewnością warto pamiętać w tym dniu o swojej kochanej mamie i złożyć jej życzenia, podziękowania za ogrom poniesionego przez nią trudu. Oczywiście, bukiet kwiatów lub drobny upominek będą mimo wszystko miłymi dodatkami do życzeń.

Tadeusz Kubiak
Wiersz na Dzień Matki

W zielonych oczach matki
świeci wiosenna łąka.
Słońce na drzewach śpiewa
i budzi kwiaty w pąkach.

W niebieskich oczach matki
szepcze kwitnący strumień.
Tak opowiadać bajki,
to tylko mama umie.

W błękitnych oczach matki
pogodne niebo fruwa.
Kiedy zasypiasz- matka
jak gwiazda nad snem czuwa.

A w czarnych oczach matki
noc od samego świtu
okrywa cię skrzydłami
ze srebra i błękitu.

Dzień Ojca

Obchody Dnia Ojca zostały zapoczątkowane na początku XX wieku w Stanach Zjednoczonych. Ściślej, pierwsze obchody święta odbyły się 19 czerwca 1910 roku w miasteczku Spokane w stanie Waszyngton za sprawą niejakiej Sonory Smart Dodd — córki weterana wojny secesyjnej, Williama Smarta. Sonora dowiedziawszy się o ustanowieniu Dnia Matki (3 lata wcześniej w 1907 r.), wpadła na pomysł, by analogiczne święto wprowadzić dla uczczenia pamięci, trudu opieki nad rodziną i zasług wszystkich ojców — w szczególności jej własnego, który po śmierci matki samotnie wychowywał ją oraz pięcioro młodszego rodzeństwa.

Jako datę zaproponowała 5 czerwca - datę urodzin swego ojca, jednak radni miasta wybrali na ten cel trzecią niedzielę czerwca. W 1966 r. prezydent Lyndon B. Johnson oficjalnie ustanowił Dzień Ojca świętem



państwowym, a w 1972 roku zatwierdzono jego obchody w trzecią niedzielę czerwca.

W Polsce święto to ma stałą datę — 23 czerwca, a obchodzone jest od 1965 roku. W innych krajach jego obchody wypadają w różnych terminach, m.in. 19 marca w dniu św. Józefa (Włochy, Hiszpania, Portugalia), niektóre państwa przyjęły datę jak w USA (Wielka Brytania, Holandia).

Mimo stosunkowo długiej historii, Dzień Ojca nie cieszy się tak wielką popularnością, jak Dzień Matki, co nie zmienia faktu, że jest to bardzo dobra okazja do wyrażenia wdzięczności i szacunku dla swojego taty. Pamiętajmy o tym. (Agnieszka Dudek, V „a”)



Różewicz Tadeusz
Ojciec

Idzie przez moje serce
stary ojciec
nie oszczędzał w życiu
nie składał
ziarnka do ziarnka
nie kupił sobie domku
ani złotego zegarka
jakoś nie zebrała się miarka

Żył jak ptak
śpiewajaco
z dnia na dzień
ale
powiedzcie czy może
tak żyć niższy urzędnik
przez wiele lat

Idzie przez moje serce
ojciec
w starym kapeluszu
pogwizduje
wesołą piosenkę
I wierzy święcie
że pójdzie do nieba

M. Mrózek - Dąbska
Spacer z tatą

A kiedy będzie słońce i lato
pójdziemy sobie na spacer z tatą.
Ja będę miała nową sukienkę,
Tato będzie mnie trzymał za rękę.

Pójdziemy wolno, prosto przed
siebie,
Będziemy liczyć chmury na niebie,
Będziemy liczyć drzewa przy
drodze,
Będziemy skakać na jednej nodze.

Miniemy kino, przedszkole i aptekę,
Jeszcze spojrzymy z mostu, na
rzekę,
Jeszcze okruszki rzucimy falom,
Kupimy w kiosku różowy balon.

Kiedy będę już bardzo zmęczona,
Tato posadzi mnie na ramiona
tacy będziemy jak nikt, szczęśliwi.
A wokół ludzie będą się dziwić,
I wszyscy będziemy patrzyli na to,
Jak na barana niesie mnie tato.



To już było...

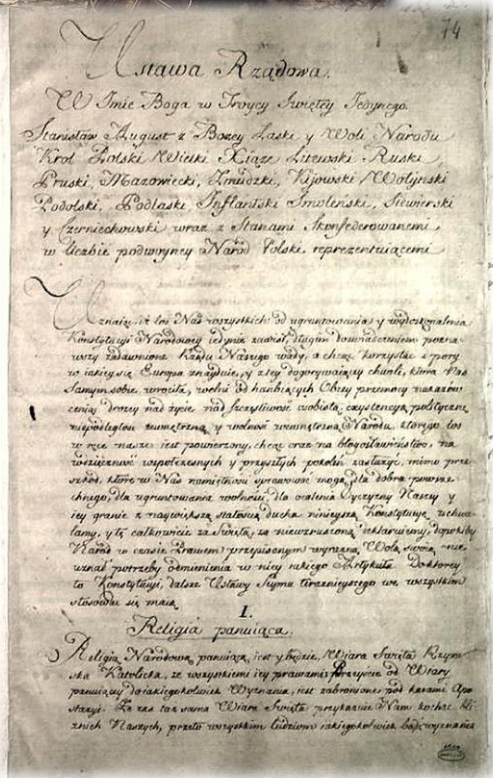


3 maja 1791 uchwalono pierwszą konstytucję w nowożytnej Europie i drugą na całym świecie. Wyprzedziła ona trzecią na świecie konstytucję francuską. Konstytucja ta została uchwalona przez Sejm Wielki, który został zwołany w październiku 1788.

1 maja to dzień wolny od pracy. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku rocznica uchwalenia Konstytucji 3 Maja została uznana za święto narodowe uchwałą Sejmu Ustawodawczego z 29 kwietnia 1919 roku. Po II wojnie światowej obchodzono je do 1946 roku, kiedy w wielu miastach doszło do demonstracji studenckich. Od tego czasu władze komunistyczne zaprzęstały i zabroniły publicznego świętowania, a próby manifestowania były często tłumione przez milicję. Święto to zostało oficjalnie zniesione ustawą z 18 stycznia 1951 o dniach wolnych od pracy. Dopiero w roku 1981 roku ponownie władze świętowały to historyczne wydarzenie – świadczą o tym gazety codzienne z tego czasu, m.in. „Trybuna Ludu”, „Głos Robotniczy”, „Życie Warszawy”. Tym samym w roku 1981 roku pierwszy raz po wojnie – i zaznacza to „Głos Robotniczy”, wydania z 1-3 maja 1981 roku – świętowano rocznicę Uchwały Majowej.

Święto Narodowe Trzeciego Maja przywrócono ustawą z 6 kwietnia 1990 roku (weszła ona w życie 28 kwietnia).

(Gabriela Uchwat, V „a”)



TYDZIEŃ JĘZYKA POLSKIEGO

Quo vadis polszczyzno, czyli języka pogoń za nowoczesnością...

Nasza szkoła co roku obchodzi Tydzień Języka Polskiego, w tym czasie można wziąć udział w wielu konkursach oraz inicjatywach, a także zgłębiać arkana naszego, jakże pięknego języka ojczystego. W tym roku Tydzień Języka Polskiego odbył się w dniach 16 - 20 maja. A oto, co się wówczas działo:



PONIEDZIAŁEK

 Rywalizacja drużynowa, czyli WIELKI KONKURS WIEDZY O JĘZYKU POLSKIM, kategorie: klasy II-III, IV-VI i gimnazjum. Zwycięskie klasy to: II „a”, VI „a” i II „b” gimnazjum. Gratulacje!



WTOREK

 Konkurs przysłów dla klas 1-3,
 Konkurs frazeologiczny dla klas IV-VI i gimnazjum.



ŚRODA

 Konkurs poprawnej polszczyzny dla klas 4-6 i gimnazjum.

CZWARTEK

 Konkurs znajomości wyrazów obcych dla klas 1-6 i



gimnazjum,

☞ Konkurs mitologiczny klasy 4-6 i gimnazjum,

☞ Kawiarenka poetycka.

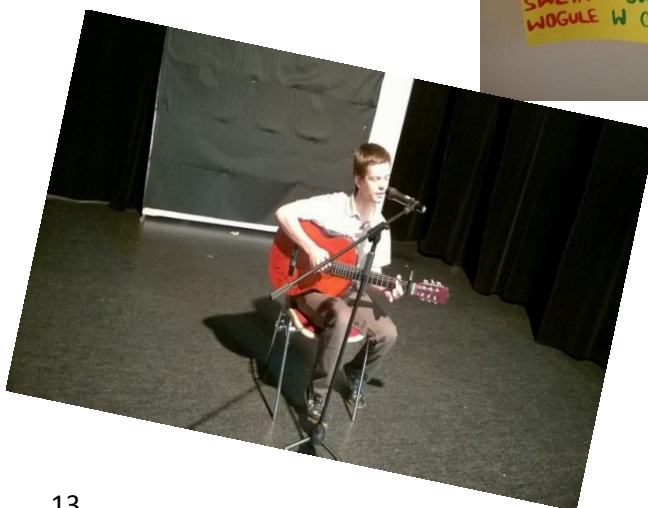
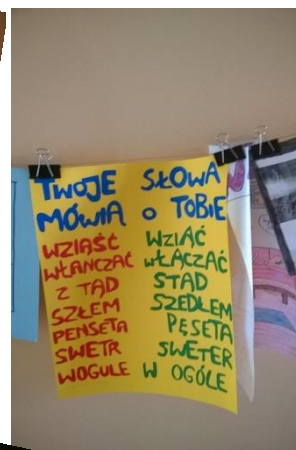


PIĄTEK

☞ Ortograficzna Corrida, czyli dyktando dla całej szkoły.

W ramach Tygodnia Języka Polskiego można było także wziąć udział w konkursach: poezji śpiewanej (23 maja) oraz literackim („Wehikuł czasu... to byłby cud”), poetyckim („Dobre słowo ma moc”) i plastycznym (ilustracja do ulubionego wiersza), które trwały do 25 maja. Mamy nadzieję, że Tydzień Języka Polskiego był dla Was ucieczką od szkolnej rutyny i szansą na dowiedzenie się czegoś więcej o naszej mowie ojczystej.

(Agnieszka Dudek, V „a”)



Coś dla miłośników książek...

"Kto czyta książki, żyje podwójnie"
~Umberto Eco

"Książka jest niczym ogród, który można
włożyć do kieszeni"
~chińskie przysłowie

"Czytanie dobrych książek jest niczym
rozmowa z najwspanialszymi ludźmi
minionych czasów"
~Kartezjusz

"Książki są jak towarzystwo, które sobie
człowiek dobiera"
~Monteskiusz

"Żadne dzieło człowieka nie przeżyje książki"
~autor nieznany

"Ludzie mówią, że życie to jest to, ale ja wolę
sobie poczytać"
~Cycero

"Telewizja to tylko zastępcza rozrywka dla
mózgu, kto nie czyta, ten właściwie nie
potrzebuje już głowy, nie mówiąc oczywiście o
wyobraźni i fantazji"
~Billie Joe

"Literaturze nie są potrzebni wielcy pisarze,
ale wielkie dzieła"
~Aleksander Kumor

"Łatwiej niektórym książkę napisać, niż drugim
ją przeczytać"
~Alojzy Żółkiewski



"Pisząc, nie trzeba tak wyczerpywać
przedmiotu, aby nic nie pozostało dla
czytelnika. Nie chodzi wszako o to, aby ludzie
czytali, ale aby myśleli"
~Monteskiusz

"Wystrzegaj się ludzi jednej książki"
~Św. Tomasz

"Wykształcenie dało ludziom umiejętność
czytania, ale nie nauczyło ich umiejętności
wyboru lektury. To właśnie jest źródłem
sukcesu brukowej literatury"
~G.M. Travelyan

"Kiedy przeczytam nową książkę, to tak
jakbym znalazł nowego przyjaciela, a gdy
przeczytam książkę, którą już czytałem - to tak
jakbym spotkał się ze starym przyjacielem."
~przysłowie chińskie

"Książki nie mają właściwości róż; dlatego nie
szukajmy wciąż najświeższych."

"Czytanie jest dla umysłu tym, czym
gimnastyka dla ciała."

"Książka - to mistrz, co darmo nauki udziela,
kto ją lubi - doradcę ma i przyjaciela,
który z nim smutki dzieli, pomaga radości,
chwilę nudów odpędza, ośladza cierpkości."

"Książka jest życiem naszych czasów."

"Książka... - to dla wielu milionów czytelników
dowiedzenie się prawdy o sobie,
znalezienie wyrazu dla własnych tęsknot,
pragnień, ideałów."

"Książka stanowi cudowny przedmiot, dzięki
któremu świat poczęty w umyśle pisarza
przenika do umysłu czytelnika... Każda książka
żyje tyle razy, ile razy została przeczytana"

(Cytaty zebrała Agnieszka Dudek, V „a”)

"Z gustami literackimi jest po trosze jak z miłością: zdumiewa nas, co też to inni wybierają"
~Andre Maurois

W świecie naszej wyobraźni...

Kącik literacki



Na Srebrnym Globie

Jestem wróżką. Tak, wiem, to może brzmieć dziecinnie i bezsensownie, a po przeczytaniu czegoś takiego osoba dorosła może przewrócić oczami i westchnąć niczym udręczona dusza. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. I nie mówię, że się z tym nie zgadzam. Absolutnie. Wręcz jestem pełna podziwu dla ludzi, którzy doszli do tego momentu mojej opowieści. Jestem wróżką po ciężkich przejściach i rozumiem ludzką niedolę.

Wszystko zaczęło się od pewnego monotonnego, nudnego dnia, w którym to siedziałam w swoim kwietnym domku (zachowajmy jakieś pozory) w mieście wrózek zwanym Utopią i popijałam brandy ze szklanki. Wtedy myślałam tylko o wtorku, bo musiałam tamtego dnia dostarczyć referat do pracy. To okropne! Kiedy byłam małą, referaty nic dla mnie nie znaczyły. Podobnie jak rozprawki, artykuły, felietony, wiersze, biografie, powieści, nowele, reportaże... Rozpędziłam się? Nieważne. Był piątek. Taki właśnie cudowny dzień, w którym to po powrocie do domu młode wróżki zaszywały się w pokojach i nawet nie chciały wiedzieć, co tam robiły we trójkę z miotaczami ognia i spirytusem salicylowym. Starsi mieszkańcy naszego miasteczka rutynowo udawali się do karczm, szczęśliwi, że mogą powiedzieć oberżystom "do jutra" i nie skłamać. A takie wróżki jak ja? Siedziałyśmy na tyłkach w naszych luksusowych domach, składałyśmy skrzydła i robiłyśmy sobie pedicure, farbowałyśmy włosy na niecodzienne kolory i wcierałyśmy w twarz kilogramy makijażu, przez co nasze głowy stawały się potwornie ciężkie. I to były dla mnie bardzo przyjemne dni! Niestety nie wszyscy chcieli to uszanować. W pewnej chwili zadzwonił telefon, a ja

musiałam odebrać stopą i włączyć głośnomówiący, bo miałam świeżo pomalowane lakierem paznokcie u dłoni.

- Słucham? - zapytałam ze skwaszoną miną, niezbyt rada, że mi przerwano. Ktoś odezwał się konspiracyjnym szeptem:

- Czy mam przyjemność z Nauzyką? Błagam, zostawmy tę sprawę bez komentarza. Moje imię było okropnym nieporozumieniem, o którym nie mam ochoty wspominać. Do dziś takie wróżki jak mała Winfredia albo Hiacynta są pocieszane przez swoje matki, że nie jest tak źle. Mogły mieć na imię Nauzyka.

- Tak, owszem - wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

- Twoje miasto jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, wraz ze wszystkimi mieszkańcami i stworzeniami. Czeka was totalna zagłada, wszyscy możecie umrzeć już jutro - oznajmił głos.

- Och.

- To nie kwestia potworów ani wrogów. Jest o wiele gorzej. Tama w Pinatown nie wytrzymuje, a wodne wróżki już dawno temu wypowiedziały posłuszeństwo władzom Utopii.

- Och.

- Gdy pęknie, a pęknie jutro po południu, co widać gołym okiem, woda wyleje się z całego Szarego Wybrzeża, popłynie ulicami Pinatown i zaleje je całe, aby zakryć Utopię i w końcu dotrzeć do waszej dzielnicy. Podniesie się pod samo Sklepienie, więc nawet w powietrzu nie przeżyjecie więcej niż kilka dni.

I chyba w tym momencie przyda się małe wyjaśnienie. Nasz świat nie jest cukierkową planetą zieloniutkiej trawki i czystego nieba, na pewno nie cały. Kiedyś istniała tu normalna sfera życia, problem tkwił w tym, że pełna podziemnych wulkanów. Kiedyś jeden nie wytrzymał i wybuchł, a po nim nastąpił morderczy ciąg reakcji łańcuchowych, aż cały świat został

zdmuchnięty z powierzchni ziemi i zasłany dymiącymi zgliszczami oraz popiołem. Zaczęły się deszcze meteorów. Sielsko. Nawet nie ma już trupów. Obróciły się w proch. To był chyba cud, ale wtedy kilka wrózek przeżyło tę nawałnicę. Pierwsze lata musiały być dla nich koszmarem, mimo to wspólnymi siłami stworzyły nowe miejsce do życia. Otoczyły je barierami, oczyściły powietrze, stworzyły utopijny raj na ziemi pełen różowych kwiatów, szmaragdowej trawy i czystej wody. Żyjemy w bańce, której granice nazywamy Mlecznym Sklepieniem. Ono chroni nas przed meteorami. Widzimy przez nie niebo, które jest chyba jedynym realnym elementem naszego życia, a i tak odgródzone barierą. Gdybyśmy dotarli przez Bezkresne Równiny pełne czystutkiej trawy aż do granicy bańki, zobaczylibyśmy miliony hektarów martwej, spalonej ziemi ciągnącej się aż po horyzont. Nie możemy tam pójść, bańkowate granice Utopii nam na to nie pozwalają. Są niewidzialne, a w dotyku jak szkło. I grube, bardzo grube. Tak, aby nic nie dostało się do środka. I nic nie wydostało na zewnątrz.

Pinatown jest czymś w rodzaju dzielnicy Utopii. Leży tuż przy granicy bańki. Jest tam tama blokująca wodę z Szarego Wybrzeża, wodę zanieczyszczoną, brudną, pełną popiołów i chemikaliów mieszkańców tamtego świata, której nie udało się odsunąć od granic Utopii. Niewielka jej część znajduje się w naszym mieście, ale ogromne ilości na zewnątrz. Tam, gdzie jest woda, nie ma barier, więc gdy tama pęknie, zaleje nas wszystkich i pogrzebie żywcem. Gdyby nie było Sklepienia, ucieklibyśmy tam, gdzie zamieszkały wolne od naszych władz wodne wróżki, pod warunkiem, że nie zmiażdżyłyby nas meteoryty, ale Sklepienie jest, i tylko dzięki niemu żyjemy, aby mogło nas uwięzić i zabić. Ha. Teraz niebezpieczeństwo było nadzwyczaj realne, a ja bardzo nie chcę prosić o pomoc wodnych wrózek.

- Och – bąknęłam.

- Musisz poprosić o pomoc wodne wróżki. Super. Po prostu tylko o tym marzę i to jest ironia.

- Znajdź towarzyszy. Przejdźcie przez otwór w barierze w zbiorniku wody Pinatown i spotkajcie się z wrózkami. Zgodzą się pomóc, choć pewnie nie od razu.

- A mogłabym się dowiedzieć, z kim rozmawiam? - spytałam, ale doskonale wiedziałam, że nie dane mi będzie poznać odpowiedzi na to pytanie. I rzeczywiście – ten ktoś się rozłączył.

Odłożyłam komórkę i wstałam. Otworzywszy drzwi, wyleciałam z domku i podążyłam do mieszkania mojej najlepszej przyjaciółki Rosy.

Tak, ona też ma depresję z powodu imienia, więc bardzo cieszy mnie, gdy mogę ją dręczyć przez nazywanie jej „Rosie”.

Rosa, wróżka o skrzydłach w kolorze delikatnego turkusu otworzyła drzwi z lokówkami na ognistoczerwonych włosach. Miała udręczony wyraz twarzy, jakbym właśnie kazała zrobić jej coś naprawdę głupiego. Mniejsza, że dopiero to zrobię.

- Nauzyka...? Wybacz, miałam ciężki dzień...

Parsknęłam.

- Dopiero będziesz miała ciężki dzień!

Streściłam jej szybko konwersację z nieznanym.

- Wierzysz w to?... O, zgrozo, jak mi się chce spać... - Rosa często bez sensu zmienia temat.

- Nie będziesz teraz spać, Rosie! Przygoda. Chwyciłam ją za rękę i pociągnęłam do domu kolejnej przyjaciółki, białowłosej Filipiny. Zareagowała na moją wizytę podobnie, ale była bardziej skłonna do działania.

- Nie wierzę w to, ale sprawdźmy. Jeśli tama faktycznie pęka, będziemy w potrzasku. I pójdziemy do tych wodnych wrózek.

Filipina swym płomiennym przemówieniem chyba trochę ocuciła Rosę, której zaświtało, że jeśli to zrobimy,

odczepię się od niej. Ta myśl widocznie ją zmotywowała. A ja i tak zamierzam wpaść do niej na kawę. Mój zapas jest bardzo cenny, a Filipinie skończyły się ziarna.

Mimo naszej desperacji, szybki lot z Rosscenter, gdzie mieszkamy, do Pinatown, to jednak mordercza udręka, zwłaszcza dla wrózek, które głównie zajmują się farbowaniem włosów i pisanie referatów. Chyba nawet Winfredii i Hiacyncie poszłoby lepiej. Mimo wszystko, z niewielką pomocą naparu ziołowego Filipiny, dotarliśmy na miejsce, nim nasze skrzydła odpadły.

- Jest tama – oznajmiła Rosa.

Musiałśmy do niej podbiec, bo lot to zbyt duże wyzwanie.

Naszym oczom ukazał się ogromny, betonowy kloc. Mógł mieć jakieś dwieście, trzysta metrów. W samym jego centrum zauważyłam kilkadziesiąt szerokich rys, które zaczynały się mniej więcej w jego środku, a kończyły na brzegach.

- O, la la – mruknęła Filipina.

- Mówiłam! - zawołałam z satysfakcją. Rosa charknęła, jakby ktoś ją dusił.

- Przygoda – prychnęła.

- Dobra, nie ma czasu! - właśnie to cenię w Filipinie. - Nauzyka, jak wyjść na zewnątrz?

- A nie możemy tego zostawić komuś innemu... - ziewnęła Rosa.

Zgodnie ją zignorowałyśmy.

- Musimy wejść do tej brudnej, cuchnącej wody i przepłynąć pod barierą.

- O, zgrozo. Cóż ty nam, kobieto, proponujesz? - to, oczywiście, była Rosie.

- Ale ja padam ze zmęczenia! - nagle przypomniała sobie Filipina.

- Faktycznie, ja też – dopiero wtedy zaświtało mi w głowie, że ciut się przeforsowałyśmy. - I chyba musimy mieć jakiś prowiant. Chodźmy do karczmy. Jedzenie, spać, potem znowu jedzenie.

Tak mniej więcej wyglądał nasz plan. I tak mniej więcej go zrealizowałyśmy. I to jest powtórzenie, błąd językowy. Przykro mi. Nie umiem pisać. Za dużo traumy w życiu. Wyspałyśmy się, zapakowałyśmy produkty do nabytych toreb oraz bukłaków (bardzo

interesowałam się bukłakami. Były dla mnie takie tajemnicze. Bohaterowie moich ulubionych książek zawsze chadzali na wyprawy z takowymi. Teraz stwierdzam, że są trochę przereklamowane). Filipina nawarzyła swojego ziołowego naparu. Zrobiła to w tajemnicy. W środku nocy. Włamała się do kuchni, bo nie miała palnika, a wczoraj zapomniała poprosić o pozwolenie na chwilę użytkowania jednego z nich. Nie złapali jej, ale nie zauważyła, jak ktoś zamknął drzwi na klucz po jej przyjsciu i ja z Rosą, obudziwszy się, prawie padłyśmy na zawał, wrzeszcząc: „Gdzie jest Filipina?!!!”. Przeraziłam się nie na żarty, bo chciałam pożyczyć od niej książki, a jak ktoś ją porwie, to skąd je wezmę? W końcu Filipina przyleciała do nas, uciekłszy oknem. Bez oporów wyszłyśmy (a konkretnie uciekłyśmy w popłochu) z karczmy, ale już miałyśmy dużo przeciw nurkowaniu w ściekach. W zasadzie Filipina przepłynęła bez zbędnych narzekań i ja też planowałam tak zrobić, ale Rosa? Zobaczyłam spojrzenie Filipiny przez szklistą barierę bańki. Jej głowa unosiła się tuż nad powierzchnią wody. Moja przyjaciółka była już w nieistniejącym świetle, a i tak zrozumiałyśmy się doskonale. Mamrocząca Rosa nie spodziewała się tego. Chwyciłam ją i wrzuciłam do brudnej wody, a Filipina wyciągnęła ją z drugiej. Wskoczyłam i popłynęłam ich śladami. Gdy się wynurzyłam, poczułam prawdziwy wiatr na skrzydłach. Rzeczywiste słońce na skórze i suche, ale świeże powietrze. Trochę to wszystko psuła bluzgająca śmierdzącą wodą i siarczastymi przekleństwami Rosa.

- Uspokój się! - syknęłam. Nadal byłyśmy w zbiorniku wodnym, nasze stopy oczywiście nie sięgały dna, a suchy ląd był o jakieś sto metrów od nas.

- Płyniemy – powiedziałam.

Po chwili wylazłyśmy z cuchnącego bajora na brzeg bardzo oddalony od Utopii, a Rosa wciąż wywrzaskiwała pod naszym adresem paskudne obelgi.

Skonstatowałyśmy z Filipiną, że najlepiej zaczekać, aż jej przejdzie i tak też zrobiliśmy.

Droga była bardzo długa, ale wiedziałyśmy, gdzie szukać wodnych wrózek. Chociaż tyle.

- Powoli nadciąga zmrok – mruknęła grobowym głosem Filipina. Wiedziałam, o co jej chodzi. Nie wiemy, jaka będzie tutaj noc. Zimna? Lodowata? Normalna? W Utopii wszystkie noce i dnie są takie same, bo sztuczne. Zupełnie, jak atmosfera, woda, rośliny i jedzenie. Sztuczny raj na ziemi. A tu? W realnym świecie? Cuchnąca, ale prawdziwa woda. Sucha i spalona, ale naprawdę gleba. Bezlitosny i lodowaty, lecz realny wiatr. Czy on w ogóle istnieje w Utopii? Nie wiem. Uczylałam się o nim w szkole, a małe wrózki nadal to robią, ale nigdy nie czułam ani jednego podmuchu. Woda? Owszem, pijemy ją i kąpiemy się w niej, jest jej trochę w Szarym Wybrzeżu, ale nigdy nie pływamy, nie żeglujemy. Nie mamy deszczu, rzek, strumyków. Komu są potrzebne? Przecież nie wrózkom. Jeszcze zmoczymy sobie skrzydełka. Katastrofa.

Po chwili udało zasnąć.

Nagle obudziłam się. Usłyszałam świst. Bardzo, bardzo głośny. Rosa i Filipina podniosły się i pokazywały z przerażeniem coś w oddali. Jakieś światło w górze, ziemią zatrzęsło tak mocno, że zważyło mnie z nóg. Rozległ się ogłuszający ryk, to jakby niebo rozdarło się na milion ognistych kawałków. Coś, co powinno być tam, wysoko, właśnie bardzo szybko stamtąd spadało, a ja uderzyłam głową w piach. Nasze torby rozsypały się po podłożu. Usiłowałam chwycić się ziemi, jakby była jedynym, na czym mogę polegać. Chciałam, żeby ten koszmar się skończył, aby dym zniknął, aby świat przestał wrzeszczeć. Potem popiół opadł. Niebo znów było ciemne, ciche i spokojne. Zrozumiałam, że meteoryt uderzył w sam środek Mlecznego Sklepienia. W Utopii pewnie nikt nawet tego nie zauważył.

Witamy w realnym świecie, zdawało się mówić wszystko wokół mnie.

Rosa i Filipina z jękiem wstały. Zjadłyśmy skromne śniadanie złożone głównie z herbatników i owoców, po czym popiłyśmy wodą z bukłaków, które już zupełnie mnie nie emocjonują.

- Lećmy – powiedziałam.

Zebrałyśmy rozsypane torby i wzbiliśmy się w powietrze.

Wędrowka była okropnie męcząca. Nieustannie musiałyśmy uciekać przed meteorami, na tym dzikim, zapomnianym przez ludzkość i nas, wrózki, świecie. Mijałyśmy rozpadające się wraki domów, trzód chlewnych, oberży, które z trudem rozpoznawałyśmy. Omijałyśmy szerokim łukiem dymiące kratery, a sucha, porzucona ziemia zdawała się mówić. Zobaczcie, jak wygląda ta planeta. Przejrzyjcie na oczy, że wszystko, co znacie i uważacie za oczywiste to kłamstwo, które wpajają wam wasi przodkowie, i które sami chcecie uważać za prawdę. Patrzcie, jak świat złudzeń prysnął niczym mydlana bańka, którą uważacie za swój dom. Już widzicie, gdzie żyjecie - szepnęła ziemia i skonała.

W pewnej chwili nadleciał meteoryt, a gdy cudem go uniknęłyśmy, kolejny. Rosa i Filipina uskoczyły w bok, ale ja nie miałam takiego szczęścia. Żar kosmicznego pocisku dosięgnął moich delikatnych, cieniutkich skrzydełek wrózki. Nawet nie czułam bólu, gdy ogień zaczął je trawić.

Spadałam. Było mi wszystko jedno. Niepokoiłam się o nie, ale i tak nie mogłam zbyt dużo zrobić. Zazdrosna ziemia nie pozwoliła mi zostać w powietrzu. Chciała mieć mnie przy sobie, więc wtedy z całą mocą ciągnęła ku sobie, a ja nie miałam siły jej się przeciwstawić. Zamajaczyły mi dwa kształty w oddali – i zemdlalam.

Obudziłam się następnego dnia. Gdy to sobie uświadomiłam, zaczęłam rzucać się po miękkim, piankowym materacu. Materacu. Materac. Gdzie ja jestem?

- Witaj w domu wodnych wrózek, na Srebrnym Globie – usłyszałam melodyjny

głos.

Uniosłam się na łokciu i spojrzałam. Przede mną stała wodna wróżka. Wiedziałam to z całą pewnością, bo miała charakterystyczne kruczoczarne loki, śniadą cerę i błękitne skrzydła oraz oczy.

- C-co z.. - zaczęłam.

- Twoim światem? Wszystko w porządku. Zdążyliśmy zatrzymać powódź w ostatniej chwili. Twoje przyjaciółki wyjaśniły nam wszystko. Są bezpieczne i nic im nie jest. Już jutro możesz wracać.

Odetchnęłam z ulgą. Wszyscy żyją. Utopia jest bezpieczna. Wrócę do domu i będzie jak dawniej. Zaraz.

- Ja mogę wracać? A co z Rosą i Filipiną?

- Powiedziały, że chcą zostać – wróżka wzruszyła ramionami. - Czują się tu lepiej, niż w Utopii. Powinny zaraz do ciebie przyjść, porozmawiaj z nimi.

Wtedy przypadkowo dotknęłam ręką odsłoniętej części pleców. Poczułam pod palcami gładką skórę. Przesuwałam dłoń niżej i wyżej, w boki. Jęknęłam.

- Twoje skrzydła strawił ogień – oznajmiła smutno wodna wróżka. - Nie mogliśmy ich uratować w żaden sposób. Zakażenie wdałoby się jeszcze głębiej, gdybyśmy ich nie...

Dalsze jej słowa nie miały dla mnie większego sensu.

Skrzydła? Dla wróżki to gorzej, niż dla człowieka stracić obie nogi. Zrozumiałam, że nic już nie będzie takie samo. Nawet nie dam rady wejść do mojego kwietnego domku. Rozpłakałam się.

Wtedy weszły Filipina i Rosa.

Zaczęło się pocieszanie. One mówiły, przekazywały mi różne motta, prawdy, historie, wyrazy współczucia i wartości, a ja tylko ryczałam i smarkałam. W końcu jednak poważnie porozmawiałyśmy o dalszym życiu i powrocie. Doszłyśmy do porozumienia.

Kilka dni później, kiedy wyszłam na taras, zrozumiałam, czemu nazywają to miejsce Srebrnym Globem. Woda ma tu niezwykłą barwę, zwłaszcza, gdy obserwuje się ją przy świetle księżyca. To inny świat, piękny, a nadal prawdziwy. Zupełnie co

innego niż Utopia. Czuję teraz to, czego nigdy nie zaznałam tam. Że realność mimo wszystko jest najpiękniejsza. Nawet taki wiatr. Wodne wróżki uczą się o nim w szkołach, a później codziennie czują na własnej skórze. Te utopijne wiedzą tylko, że istnieje. Nie jestem już z Rosscenter. Mieszkam tu, z moimi przyjaciółkami. Nie wirujemy na skrzydłach wśród puszystych, sztucznych obłoczków. Czujemy ziemię pod nogami. Żeglujemy. Pływamy. To miejsce daje nam nowe życie. Takie prawdziwe.

(Justyna Chomej, II „a”)



W NAJCZARNIEJSZĄ NOC...

AUTOR: KAMA

Miasteczko Greenilaf jeszcze nigdy tak bardzo nie tętniło życiem i radością jak teraz, chociaż zaledwie kilka miesięcy temu jego mieszkańcy pogrążeni byli w rozpacz i nieustannym strachu. Erydia, istota nieuchwytna i mroczna, spędzała im sen z powiek. Nikt nie wiedział, jak wyglądała. Każdemu objawiała się pod inną postacią. Nigdy nie miała wyrzutów sumienia, a śmierć była jej drugim imieniem. Do czasu, aż pewien nastoletni czarodziej, o śniadej cerze i ciemnych jak noc włosach, stanął jej na drodze. Chłopiec na pierwszy rzut oka wcale nie wyglądał na bohatera i on sam w ogóle się tak nie czuł. Ale zacznijmy od początku. Wszystko zaczęło się od wizyty niespodziewanego gościa w pewien jesienny wieczór. Collin siedział w swoim ulubionym fotelu i z zaangażowaniem wpatrywał się w skaczące płomienie w kominku, upijając przy tym, regularnie co minutę, mały łyk czarnej kawy. Niewielki pokój oświetlały tylko promienie księżyca. W pomieszczeniu było mimo wszystko zimno i dosyć strasznie.

Jemu jednak to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Wprowadzało pewien nastrój i nutkę

- Paniczu? – niepewny szept skrzata domowego wypełnił pomieszczenie. Chłopak leniwie odwrócił głowę w jego stronę i spojrzał na niego, dając mu do zrozumienia, że słucha i może mówić.

- Ma pan gościa.

- To go stąd odpraw. Nie mam ochoty na gości - warknął oschlej niż zamierzał, ale nie przejął się tym zbytnio. -Ale...- nie dane było mu jednak dokończyć, gdyż chłopiec spojrzał na niego tak wymownym wzrokiem, że jeśli chciał dożyć jutra, lepiej było się nie sprzeciwiać.

- Tak jest – skrzat ukłonił się lekko ze skruszoną miną i zostawił młodego czarodzieja samego ze swoimi myślami. Niemniej jednak, nie minęło dziesięć minut, gdy to wyżej wspomniany skrzat ponownie zwrócił się do chłopca.

- Pan wybaczy, ale pański gość upiera się, że ma bardzo ważną sprawę, która nie może czekać. Collin wzniosł oczy ku białemu sufitowi w akcie rezygnacji, błagając Merlina, by dał mu więcej cierpliwości. Swoją groźny wzrok przeniósł z sufitu na zmieszanego do granic możliwości skrzata, by po chwili z ciężkim westchnieniem opuścić salon i skierować się do drzwi wejściowych. Zanim jednak te drzwi otworzył, przybrał na twarz najbardziej obojętny wyraz na jaki było go stać. Odetchnął głęboko, a w duchu modlił się, żeby ta bardzo ważna sprawa faktycznie okazała się niecierpiąca zwłoki i by jego drogocenny czas nie został haniebnie zmarnowany.

- Profesor? - zapytał zdezorientowany chłopak, gdy w drzwiach ujrzał starszego mężczyznę. Jeszcze nigdy tak ważna osobistość nie zawitała w jego skromnych progach. Jednak w głowie pojawiła się mu nagle myśl, że ta wizyta nie będzie zbyt przyjazna. Nie pomylił się.

-Witaj mój drogi- staruszek uśmiechnął się do niego pocziwie. Collin bez słowa wpuścił starca do środka. Ten podziękował

mu lekkim skinieniem głowy i przekroczył próg domu. Skrzat odebrał od niego płaszczy i zaproponował poczęstunek.

- Poproszę herbatę. Z cytryną jeśli można – skrzat bez słowa odwrócił się na pięcie i skierował się do kuchni, zostawiając czarodziei samych w korytarzu.

- Te stworzenia są takie uroczesko mentował po dłuższym milczeniu Profesor z dziwnym rozmarzeniem wypisanym na twarzy. Collin ograniczył się do obdarowywania starca pytającym wzrokiem. Profesor zdawał się tego nie zauważać, bądź po prostu ignorować. Ze spokojem przechadzał się po salonie, by w końcu usiąść na kanapie naprzeciwko młodego arystokraty.

– Gustownie - mruknął w końcu.

- Coś mi się zdaje, że Profesor nie przybył tutaj, żeby porozmawiać ze mną o architekturze- odparł Collin lekko poirytowany, z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Nie. Masz rację. Jestem tu w innej sprawie.

- To niech pan przejdzie do sedna. Nie mam całej nocy.

- Istotnie. Mamy coraz mniej czasu- odparł zamyślony mężczyzna, a z jego twarzy całkowicie znikł uśmiech. - Mój drogi Collinie...-tutaj Profesor zrobił wymowną przerwę, tak by poukładać swoje myśli- pamiętam, że jeszcze w szkole to ty byłeś najlepszym i najzdolniejszym uczniem. Zawsze pokładałem w tobie wielkie nadzieje.

I właśnie teraz będziesz miał okazję do tego, żeby się wykazać i wykorzystać swoje

umiejętności.

- Nie rozumiem...

- Jestem pewien, że słyszałeś o ostatnich napadach na poszczególne domostwa, a także wiesz, kto jest głównym podejrzanym. Erydia nie spocznie na kilku domach. Ona pragnie więcej. Jej chora żądza mordy i krwi z biegiem czasu staje się coraz trudniejsza do opanowania. Myślę, że to zauważyłeś. Ja, jako głowa miasta, wraz z resztą członków rady przy tak skrajnych sytuacjach typujemy do

wprowadzenia porządku przedstawiciela jednej z ras. Tym razem padło na czarodziei.

Collin patrzył na niego z powątpiewaniem i nawet nie starał się ukryć niezrozumienia malującego mu się na twarzy. Chwilę niezręcznej ciszy przerwał starszy mężczyzna.

-Drogi chłopcze, rada chce, żebyś to ty stawił czoło Erydii.

Chłopak zamrugał kilka razy powiekami, by upewnić się, że nie ma zwidów. Przez chwilę analizował, co tak naprawdę powiedział do niego nauczyciel, przeliczył wszystkie korzyści, przeprowadził szybki bilans strat i jedyne, na co się zdobył, to ciche: „*Nie ma mowy*”. Profesor jednak nie na taką odpowiedź liczył. Tak po prawdzie to oczekiwał, że Collin się z tego ucieszy. W końcu będzie mógł się wykazać.

- Collinie, przecież to twoja życiowa szansa - powiedział Profesor.

- Z całym szacunkiem, proszę pana, ale pan chyba oszalał!- nastolatek odpowiedział dobitnie, aczkolwiek starał się zachować resztki spokoju i załatać poszarpane nerwy. Starzec uniósł swą prawą brew w geście zwątpienia, na co Collin odrobinę się zmieszał. Ale tylko na moment. W chwili obecnej miał ich różnicę wiekową i wpojone zasady kulturalnego zachowania w głębokim poważaniu.

- Nie ma mowy, że poświęcę moje piękne, spokojne życie tylko dlatego, że banda ważniaków tak sobie wymyśliła! Czy pan wie, jakie to ryzyko?!- Collin zerwał się z miejsca i zaczął nerwowo chodzić po pokoju, żwawo przy tym gestykulując, a po jego opanowaniu i spokoju nie było już nawet śladu.

- Mój chłopcze! To właśnie tobie przypadł ten zaszczyt, by nas ocalić. By zmierzyć się z czystym złem! By spojrzeć śmierci w oczy! Nie żadnemu elfowi, wampirowi czy skrzatowi. Tobie! Nie chcesz przynieść zasłużonej chwały jednemu z najpotężniejszych rodów czarodziei?! - zapytał ożywiony starzec.

- Moje szanse na wygraną są mniejsze niż

zero!

- Oj nie bądź tchórzem! – odpowiedział zaczepnie Profesor, wyzywająco zadzierając głowę do góry. Collina wyjątkowo obruszyło to stwierdzenie. Nikt nie miał prawa zarzucać mu tchórzostwa.

- Ja jestem człowiekiem myślącym racjonalnie- wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Nie. Jesteś pesymistą.

- Jestem realistą - poprawił go Collin.

- To nie zakładaj, że przegrasz.

- Realizm sam w sobie jest w połowiepesymistyczny. Przykro mi – chłopiec wzruszył ramionami.

Profesor zmęczony i zdenerwowany już tą szczeniacką wymianą zdań spojrzał na swojego byłego wychowanka wyjątkowo karcącym wzrokiem

-Collin. Jest mi bardzo przykro, ale w tej sytuacji twój głos się nie liczy. Zdanie rady zostało przypieczętowane, potwierdzone i nic ani nikt nie może go zmienić. Młody czarodziej w milczeniu przyglądał się starszemu mężczyźnie, zbyt zszokowany, by się odezwać. Od kiedy to rada ma decydować o jego losie? Misja, na którą go wysyłali, była niebezpieczna, a wręcz samobójcza. Mężczyźni patrzyli na siebie z wściekłością malującą się na twarzach. Mogliby tak w nieskończoność, lecz Collin w końcu postanowił odpuścić. Po wyrazie twarzy Profesora widział, że chyba nic nie działo.

-Wierzę w ciebie Collinie. Jestem pewien, że nas nie zawiedziesz.

- Profesor powinien czasem zastanowić się, czy we właściwych osobach pokłada nadzieję-powiedział chłodno.

- Jestem pewien, że dasz radę – odpowiedział pewny swego mężczyzna.

- Muszę już iść. Przygotować wszystko.

-Nie możemy załatwić tego od razu?- zapytał poirytowany chłopak.

- Nie jestem pewien, czy twój dom to odpowiednie miejsce. Czułbym się bezpieczniej, gdybyś jutro raczył odwiedzić mnie w moich skromnych progach.

- Dobrze. Będę wieczorem. Collin sam nie

wiedział, jak udało mu się przeżyć następny dzień. Wciąż nie pogodził się z decyzją rady. Było mu z tym ciężko. Mimo wszystko i tak zdecydował się na przyjsie do Profesora. Nie chciał, by uważano go za tchórza. Był już późny wieczór, gdy do niego przyszedł. Ze spokojem wysłuchał wszystkich rad i tego, jak ma się przygotować, a także raportów najlepszych szpiegów Profesora o tym, gdzie aktualnie Erydia może przebywać. Nie odzywał się przez cały pobyt u czarodzieja. Bez słowa dał się poprowadzić do sali ćwiczeń.

- Profesor jest pewny, że przypadkiem nie przyprowadził mnie do sali tortur? – zapytał zdezorientowany chłopak, tym samym po raz pierwszy tego wieczora zabierając głos, gdy ujrzał miejsce, w którym przyjedzie spędzić mu wiele następnych tygodni.

- Jestem pewny.

- A ja nie...- Collin wolno omiół spojrzeniem całą salę. Stosunkowo małe pomieszczenie wypełnione było najrozmaitszymi rodzajami broni. Białe ściany pokryte były gdzieś tam smugami zaschniętej krwi, a w niektórych miejscach ze ścian opadał tynk. - Moich uczniów czasem ponosi. Nie przejmuj się- mężczyzna nieco rozbawiony obecnym zachowaniem nastolatka postanowił go udobruchać.

- Na początku przygotowań za twojego przeciwnika będzie służył ten manekin- Profesor wskazał palcem beżowego manekina. Z jego torsu wystawała brudna i nieco zapleśniała gąbka, a on sam poszarpany, zakrwawiony i porozcinany, nie prezentował się zbyt zachęcająco.

- Oswój się z bronią i poćwicz trochę. Przyjdę do ciebie za chwilę. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, mówiąc to, starzec skierował się do drzwi. Ostatni raz uśmiechnął się zachęcająco do chłopca i wyszedł. Collin westchnął przeciągle w ramach skomentowania swojego obecnego stanu i zaczesał palcami swoje zmierzwiłone włosy. Mijały godziny, a on jeszcze nie tknął palcem żadnej z broni.

Przerastało go to zadanie. Nigdy nie zajmował się takimi sprawami. Po powrocie starszego czarodzieja jednak zdobył się na to, by choć potrzymać kilka z różnych rodzajów broni. Po pewnym czasie szło mu z tym coraz lepiej. Zaczął nawet stosować kilka sposobów walki, które zaprezentował mu Profesor. Całkowicie się w tym zatracił. Z godzin robiły się dni, z dni tygodnie, a z tygodni miesiące. Był coraz lepszy. Nic nie było w stanie go zaskoczyć. Wszystko przychodziło mu z taką lekkością, że aż sam się sobie dziwił. Mimo wszystko podobało mu się to. Profesor obserwował jego poczynania i efekty jego pracy z uczuciem satysfakcji, które mimowolnie wkrađło się do jego serca. Podziwiał tego chłopca i liczył na niego w tych trudnych czasach. A było coraz gorzej. Erydia z każdym mijającym dniem atakowała coraz częściej i nadal pozostawała nieuchwytna. Mimo to starzec był z natury optymistą i zawsze trzymał się swoich nadziei. A jedną z nich był właśnie Collin. Ufał, że chłopiec będzie w stanie przynieść miastu zasłużony spokój. Jednak nie mogli dłużej czekać. Nadszedł TEN czas. Był środek nocy i Collin czuł się senny. Nawet wielotygodniowe treningi nie sprawiły, że chłopak stał się choć trochę mniej leniwy. Cenił sobie porę snu najbardziej ze wszystkiego. Lubił być wypoczęty. A teraz nie dość, że musiał wejść do jakiegoś opuszczonego zamczyska, który w każdej chwili mógł się zawalić i spędził w nim zdecydowanie za dużo czasu beczynnie czekając, to jeszcze jego koncentracja zdecydowanie zmalała. Siedząc tak przy jednej z kolumn z mieczem w ręce i przeklinając los, stawał się coraz bardziej senny. Wtem usłyszał coś niepokojącego. Od razu zerwał się z miejsca i mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Mimowolnie na jego usta wpłynął uśmiech spełnienia. W końcu coś zaczęło się dziać. Powolnym krokiem ruszył na przód, starając się zachowywać jak najciszej. Od czasu do czasu rozglądał się na boki i za siebie. Przyłapał się nawet na tym, że

wstrzymuje oddech. Nic. Coś tu jednak jest. Coś musiało go przewrócić. Przełknął głośno ślinę i na lekko miękkich nogach podniósł się z ziemi. Coraz mniej mu się to wszystko podobało i zaczynał już tracić cierpliwość. Odwrócił się na pięcie, by sprawdzić inną część zamku, gdy wtem tuż przed nim wyrósł nie wiadomo skąd wielki stwór. Collin nie był w stanie do końca zidentyfikować, co to takiego. Głowa trochę przypominająca mieszankę smoka i konika morskiego, gruby, potężny tułów o kolorze zgniętej zieleni, pokryty łuskami, świecił jakby przepływał przez niego prąd, a długi gadzi ogon spokojnymi ruchami przemieszczał się po podłodze. Gdy stwór otworzył swój pysk, Collin ujrzał rzędy białych, ostrych jak brzytwa zębów. W jednej chwili chłopak odskoczył w bok i schował się za kolumną, a Erydia wypłuła potężną, ognistą kulę. Do jego uszu dotarł przerażający ryk. Spojrzał na swoją nogę. Lekko poparzona, a ze skroni spływała strużka krwi. Rozciął ją sobie pewnie przy upadku. Syknął cicho z bólu. Przeklinał teraz, że nie może posłużyć się różdżką. Jednak jej nie można zabić czarem. Nastolatek uspokoił swój oddech i wybiegł zza kolumny z głośnym wrzaskiem, by zmora zwróciła na niego swoją uwagę. Od razu uzyskał zamierzony efekt, gdyż w jego stronę poleciał śmiertelny ogień. Collin uskoczył w bok i zamachnął się mieczem. Pudło. Erydia była bardzo zwinna. O tyle dobrze, że nie potrafiła latać. Kolejny cios mieczem i znów trafił w powietrze. Coraz bardziej zdenerwowany głośno wypuścił powietrze z ust. Czasem udało mu się natrafić na potężne cielsko Erydii i zadać jej ranę, jednak nie na tyle poważną, by mógł ją zabić. W jednej chwili bestia pchnęła chłopca z całej siły na pobliską ścianę. Słysząc było nieprzyjemne chrupnięcie, gdy Collin trafił głową w twarde cegły. Oszołomiony, osunął się na ziemię i przyłożył drżącą rękę do rany na głowie. Mocno krwawiła. Już miał chwycić miecz, gdy znów poczuł na sobie siłę wymierzonego mu ciosu i po raz kolejny

trafił w ścianę. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Erydia zniknęła mu z jego pola widzenia. Nie przejmował się tym jednak. W pierwszej kolejności chciał odzyskać siły na tyle, by mógł dalej walczyć. Na chwiejnych nogach wstał z brudnej ziemi, dzierżąc śmiertelne ostrze w dłoni. Kulejąc, ruszył w poszukiwaniu Erydii. Noga go niemiłosiernie piekła, a w powietrzu dało się wyczuć smród nadpalonego ciała. Starał się jednak zignorować ból i tępe klucie w głowie. W zamku było ciemno, dlatego też Collin ledwie widział, po czym idzie. W pewnym momencie usłyszał ciche warknięcie. Mimowolnie spał wszystkie mięśnie i wstrzymał oddech. Wolno i ostrożnie rozglądał się po pomieszczeniu. Pustka. Ruszył dalej mimo tego, że był coraz słabszy. Ignorując ogarniający go strach, zaglądał w najciemniejsze zakątki zamku. Denerwowało go to, że nie może jej znaleźć. Już dawno powinno być po wszystkim. Nagle Erydia wychyliła swój ogromny łeb zza kolumny. Żółtymi ślepiami z pożądaniem wpatrywała się w swój przyszły kąsek. Wydawała przy tym groźne pomrukiwania. Wolno zbliżała się do Collina. Swoim długim gadzim ogonem otoczyła go, uniemożliwiając próbę ucieczki. Czarodziej znalazł się w potrzasku. Gdyby mógł posłużyć się magią, już dawno byłoby po niej. Zauważył jednak, że i ona nie pozostała bez szwanku. Wiele ran zadanych przez Collina wciąż krwawiło. Jednak jego uwagę najbardziej przykuły te rany, które znajdowały się na brzuchu. Najbliżej serca. Jeszcze jedno trafienie, w którąś z nich i w końcu uda mu się ją zabić. Bestia była coraz bliżej. Jej pysk był tuż za nim. Usłyszał warknięcie przy swoim uchu i już wiedział, że to odpowiedni moment. Sprawną nogą nadepnął na ogon Erydii, a ona sama rozjuszona odwróciła swój łeb w stronę młodzieńca. Collin wbił ostrze długiego i grubego miecza w jej ogon i korzystając z jej chwilowego roztargnienia wycelował mieczem w tułów i z całych sił pchnął ją ostrzem. Jednak po drodze

natrafił na grubą łuskę. Nie trafił w tą ranę, w którą celował. Erydia kolejny raz wypuła kulę gorącego ognia. Przeleciała tuż obok Collina. Nastolatek w mgnieniu oka znalazł się tuż pod brzuchem bestii i z całych sił oderwał ogromną łuskę od jej cielska, a następnie mocno pchnął ją ostrzem miecza. Erydia zawyla z bólu i padła na ziemię. Collin, wskakując na jej grzbiet, wbił miecz w jej szyję i szybkim, zdecydowanym ruchem odrąbał jej potężny łeb. Zmęczony, zraniony, ale i bardzo usatysfakcjonowany opadł na kolana, by się uspokoić. Spojrzał w miejsce, gdzie przed chwilą leżała Erydia. Zniknęła. Chłopak uśmiechnął się do siebie, a po chwili upadł na ziemię, tracąc przytomność.



Gra w czasie

Autor: RIMIA

11 marca 2012, Anglia

Szkoła, nauka, nuda. Wieczne sprzeczki dzieciaków, nauczyciele narzekający na swą nędzną pensję i wybryki uczniów. Wstrętne ściany pokoju w internacie pokryte pleśnią. Aż chciałoby się, żeby światu zaczęło grozić niebezpieczeństwo. Wszystko, aby tylko wyrwać się z tej drętwiej codzienności.

28 sierpnia 1925, Paryż

Will budzi się w parku otoczonym ze wszystkich stron przez zabudowania miejskie. Leży na ławce. Jest pewny, że nigdy wcześniej tu nie był. Wokół niego spaceruje kilkoro ludzi w eleganckich garniturach i sukniach.

- Przepraszam, który dzisiaj jest? - pyta przechodzącą obok kobiety.
- Zwariował pan? - kobieta spogląda na niego zgorszona. - Nie dość, że śpi na ławce, to jeszcze zawraca pan głowę głupotami porządnym ludziom! Też coś.

Kobieta odchodzi, zostawiając zaskoczonego Willa.

Chłopak wygładza pomięty podkoszulek i postanawia ponowić próbę komunikacji z miejscową ludnością.

- Dzień dobry! Który dzisiaj dzień?

- 27 sierpnia. A może 28? - odpowiada mu roztargniony mężczyzna w dziwacznym kapeluszu.

- Ale przecież był marzec! Przespałem pięć miesięcy?

Mężczyzna podnosi na niego zdziwione spojrzenie, po czym oddala się pospiesznie.

Will podnosi rękę do czoła w poszukiwaniu obrażeń mogących powodować zanik pamięci lub halucynacje, ale znajduje jedynie ranę, powstałą prawdopodobnie na skutek lawiny odłamków ze ściany w jego pokoju.

- Od tego bym nie zwariował...

- Proszę pana! Will dopiero teraz zauważa człowieka w mundurze stojącego przed nim.

- Tu się nie śpi! To jest park, a park jest miejscem do spacerowania, nie do przeszkadzania innym w kontemplowaniu piękna natury!

- Ja już sobie idę, panie władzo! Już mnie tu nie ma!

- O! Teraz pójdzie pan ze mną! Już od 1916 roku we Francji za takie rzeczy można zostać zatrzymanym!

- 1916? Francja? Gdzie ja jestem? Co się dzieje? Jeżeli to żart, to przestaje być śmieszny...

- Proszę nie stawiać oporu i nie pogarszać swojej....

Park, miasto (we Francji?) wszystko znika. Will znowu pogrąża się w nicości.

Czas żniw rok 654 (ale wtedy jeszcze nikt o tym nie wie), Galia

Willa budzą głosy i światła.

- Powiadam ja wam, mości towarzysze podróży, tylko człowiek nieprawy, magią czarną się parający, nosi szaty tak dziwaczne!

- Rację przyznaję ja tobie, Omarsoniksie.

On złemu duchowi cześć oddaje. Należy więc uśmiercić go, nim będzie za późno!

- Nie możemy pozbawić go życia, Cingetoriksie! Wszak pan jego demoniczny klątwą straszną nas obarczy!

- Och, przez twą zwłokę zginąć możemy wszyscy, zacni bracia! Spójrzcie! Otrząsa on już sen od siebie! Zapewne wyczuł tu naszą obecność! Will potrząsa głową, chcąc przywołać świadomość. Leży na ziemi,

nad nim pochylają się trzej mężczyźni. Prawdopodobnie właśnie uciekli z próby kółka teatralnego, bo ubrani są w tuniki przepasane pasami, spodnie z wełny, a na głowach mają dziwaczne hełmy.

- Świetne wąsy! - komentuje niezbyt przytomnie Will. - Co to za miejsce? Mężczyźni spoglądają po sobie z wyraźnym przestachem.

- Miałeś zaszczyt trafić na zacne ziemie galijskie, czarnoksiężniku. Jednak najlepiej będzie, jeśli je opuścisz w jak najszybszym czasie. Nie boimy się twego pana!

- Co? - William próbuje wstać o własnych siłach, ale jeden z obcych popycha go z powrotem na ziemię.

- Siedź spokojnie, niecnoto, a nie stanie ci się krzywda!

- O co wam wszystkim chodzi?! Czy ja nie mogę się w końcu dowiedzieć, co tu się dzieje? Niech się pan posunie!

- Dość tego! Chcieliśmy darować mu życie, nie dał nam wyboru! - Chłopak milknie natychmiast, widząc obnażone miecze w dłoniach mężczyzn.

- Czy posiadanie takiej broni jest w ogóle legalne w... Gali? - postanawia wtrącić nieśmiało.

Niestety, nie doczeka się odpowiedzi. Zamiast tego dostrzega ostrze szybko zmierzające w jego stronę. Wykonuje koślawy unik i przetacza się kilka metrów dalej, jednak agresywni uciekinierzy z kółka teatralnego znowu otaczają go ciasnym kołem.

- Już po mnie - szepcze i zamyka oczy...

3 stycznia 2057, Republika Zjednoczonych Indii

Will czeka, ale śmiertelny cios nie nadchodzi. Czemu nie mogą mnie po prostu zabić i skończyć ten cyrk? - zadaje sobie pytanie poirytowany. Rozchyła powieki i zaraz z powrotem je zaciska oślepiony przez migające, różnokolorowe światełka.

- Szefie, budzi się.

- To zadziwiające. Niesłychane! Żeby w latach 20, z których sądząc po ubiorze pochodzi, podróże w czasie były praktykowane? To niemożliwe!

Will czeka na dobry moment. Ma dość dziwaków patrzących na niego z pogardą, bombardujących jego mieszkanie i ogólnie próbujących go zabić. Zrywa się na równe nogi i zaraz żałuje swojej decyzji, ponieważ zawroty głowy dają mu się mocno we znaki. Siada na białej kanapie znajdującej się w pomieszczeniu.

- Gdzie... ja... jestem? - pyta w końcu, kiedy udaje mu się odzyskać jako takie panowanie nad odruchem wymiotnym.

- W Centrum Badań Nad Czasoprzestrzenią imienia RabibaraKossa, Republika Zjednoczonych Indii. Chłopak opanowuje w końcu mdłości i rozgląda się po pokoju, w którym się znajduje. Wszystko jest tu białe i sterylnie czyste. Oprócz kanapy znajduje się tu też biurko, dwa krzesła zajmowane przez ludzi w kombinezonach i jakieś ogromne urządzenie wyposażone w mnóstwo kontroltek, licznik, dźwignie i diody, które migają bez przerwy.

- Czy robiliście na mnie jakieś eksperymenty? To jakiś test?

- Prosimy cię o zachowanie spokoju. To nie żaden eksperyment ani żart. Przeniosłeś się w czasie do roku 2057 - odpowiada mu człowiek, siedzący pod ścianą. - Z jakich czasów pochodzisz?

- 2012 rok. To jest przyszłość?

- Owszem.

- Zaraz. Zjednoczone Indie? Co się wydarzyło?

- Nie będziemy teraz streszczać tego, co działo się przez pięćdziesiąt lat. Chcielibyśmy natomiast zadać ci kilka

pytań. Mógłbyś...? - zwrócił się do swojego towarzysza, który podał mu urządzenie podobne do tabletu.

-Więc teraz nie używa się już p a p i e r u?

- Raczej nie. W naszym ośrodku używamy najnowszej technologii, a ostatnie cztery hektary lasu znajdują się pod ścisłą ochroną.

- Dobrze, przejdźmy do pytań. Czy mógłbyś nam powiedzieć, jak masz na imię?

- Will. Nazywam się William Carter. A pan?

- Jestem Octavius. Miło mi cię poznać - mężczyzna uśmiecha się. - Czy wiesz, jak dostałeś się tutaj? Mam na myśli: do przyszłości?

- Nie mam zielonego pojęcia. W nocy obudziły mnie wystrzały. Podejrzewam, że moja szkoła została zbombardowana. Ocknąłem się w jakimś mieście, prawdopodobnie we Francji. Byłem jeszcze w kilku miejscach z przeszłości. Czy ja naprawdę podróżowałem w czasie?

- Tak, to pewne. Jednak nie mamy pojęcia, jak do tego doszło. Teraz prowadzimy badania nad schematem pierwszej maszyny czasu. To niemożliwe, aby już w latach 20 wydarzyło się coś takiego!

- Z tego, co wiem, nie udało nam się wymyślić maszyny czasu.

- Otóż to. Pozostaje więc jedno pytanie: Co ty tu robisz?

- Ja... nie wiem. I co gorsza, nie mam pojęcia, jak wrócić.

- Niestety, my również nie posiadamy tej wiedzy.

Octavius zamazuje się Willowi przed oczami. Chłopak dotyka twarzy. Czy to łązy? Słyszy jeszcze ciche nawoływania Octaviusa i jego asystenta. Nie odpowiada na nie.

Ok. 2300, ruiny Nowego Yorku

Tym razem nikt go nie budzi, a on sam nie zamierza opuszczać błędnego stanu nieświadomości. Znów przeniósł się w czasie. Nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Zdarzenia ostatnich dni (wieków?)

przytłaczają go. Chce, aby to wszystko naprawdę okazało się tylko złym snem. Wie jednak, że to niemożliwe. Budzi się, wstaje. Zakrywa dłońmi oczy, aby osłonić je przed pyłem unoszącym się w powietrzu. Kiedy wzrok przyzwyczaja się do złej widoczności, udaje mu się wypatrzyć zarysy budynków. Wszystko jest przykryte kilkucentymetrową warstwą popiołu. Większość mijanych obiektów jest zniszczonych. Zostały same fundamenty albo konstrukcje, które mogą zawalić się w każdym momencie. Nie obchodzi go to. Wchodzi przez dziurę, gdzie kiedyś musiały znajdować się drzwi. Przechodzi przez pomieszczenia, aż w końcu dociera do czegoś, co dawno temu służyło prawdopodobnie za biuro. Widzi stare, metalowe biurko. Nic więcej. Zrezygnowany postanawia wyjść i poczekać na kolejną podróż w czasie. Nagle z szuflady biurka dobiega go dźwięk przypominający syrenę alarmową. Odwraca się gwałtownie i otwiera szufladę. Wewnątrz znajduje szklana kula. Mieni się wszystkimi kolorami i wydaje z siebie charakterystyczne wycie. Kiedy bierze ją do ręki, kula rozbłyśka białym światłem, po czym pojawia się obraz. Will widzi mężczyznę około sześćdziesiątki. Siedzi na krześle podobnym do tych, jakie widział w 2057 roku. Mężczyzna odzywa się:

- Jeżeli tego słuchasz, to znaczy, że ludzie wyginęli. Powoli wyniszczali samych siebie i w końcu udało się to im. Nazywam się profesor Oraith. Jestem wynalazcą pierwszej na świecie maszyny czasu. Wydaje ci się, że to powód do dumy? Nic bardziej mylnego. To właśnie przeze mnie jesteś tu, gdzie jesteś, a Nowy York wygląda tak, jak wygląda. Ludzie zawsze chcieli być twórcami, stać wyżej od samej Natury. Taki sam byłem ja...W roku 2075 stworzyłem maszynę czasu. Okazało się, że działa - potrafi przenosić ludzi do przeszłości i przyszłości. Stałem się sławny!Po jakimś czasie zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Jednak było już za późno. Nie potrafiłem zatrzymać lawiny, którą

sam wywołałem. Mogłem jedynie zabezpieczyć to nagranie oraz sprowadzić cię tutaj. Zaprogramowałem maszynę tak, aby odszukała kogoś odpowiedniego do tego zadania. Nie wiem, dlaczego padło na ciebie, ale należy zaufać naturze. Właśnie tego się nauczyłem. Maszyna wybuchła. Prawdopodobnie kiedy to oglądasz, wszyscy jesteśmy martwi. Nie pomożesz nam, ale możesz zmienić historię. Powiem ci więc, co masz zrobić. Moc mojej maszyny opiera się na ogromnej energii zamkniętej w Kamieniach Księżycowych przywiezionych z wypraw kosmicznych przez astronautów w 2063 roku. Bez nich maszyna nie mogłaby działać. Jestem przekonany, że ludzie nie znajdą innych źródeł tak silnej energii. Musisz je zniszczyć. Abyś mógł tego dokonać, zainstalowałem w kuli część mojej maszyny. Energii wystarczy na jedną podróż. Ustawiłem datę 5 września 2074 roku. Tego dnia wpadłem na pomysł użycia Kamieni. Kiedy wykonasz zadanie, zostaniesz przeniesiony do twoich czasów. Kamienie muszą być przechowywane w bardzo niskiej temperaturze. Wszystkie, jakie dotąd odnaleźliśmy, znajdują się w Centrum Badań Nad Czasoprzestrzenią, gdzie pracowałem. Znajdziesz je w specjalnym pomieszczeniu, przeniesiesz się właśnie tam. Wystarczy, że wyłączysz chłodzenie w sejfie. To proste, poradziś sobie. Wybrałem godzinę, kiedy wszyscy spożywają obiad. Pod drzwiami trzyma wartę jeden strażnik, ale ściany są grube i, jeżeli nie będziesz zachowywał się jak stado słoni w składzie porcelany (tak się kiedyś mówiło, prawda?), na pewno nie przyjdzie mu do głowy, że ktoś się tam włamał. Przy odrobinie szczęścia nie natkniesz się na nikogo. Zresztą, wstęp do pomieszczenia miałem jedynie ja i mój asystent, Arnie. Poczciwy chłopak. Chyba jako jedyny nie pałał entuzjazmem do podróży w czasie. Mimo wszystko był mi oddany do końca. Kulę zabierz ze sobą. Została wynaleziona w latach 50, ale jeśli przekroczy datę swojego powstania,

zniknie. Nie możesz zabrać jej ze sobą do domu. Jeśli chcesz posłuchać wiadomości, wciśnij czerwony guzik z tyłu kuli. Niebieski odeśle cię we właściwe czasy. Powodzenia! Wiadomość dobiegła końca. Will bierze głęboki oddech. Nie spodziewał się czegoś takiego. Znalazł jednak sposób na powrót do domu. No i uratowanie planety, oczywiście. Postanawia zrobić wszystko, aby mu się udało.

12 marca 2012, Anglia

Will budzi się. Tym razem przyczyną nie są wybuchy. Słyszy dźwięk budzika wyrrywającego go ze snu, jak co rano. Przez chwilę rozgląda się zdezorientowany po swojej sypialni. Wszystkie ściany są całe, nigdzie nie widać śladów zniszczeń. Przez chwilę z niedowierzaniem wspomina wydarzenia ostatniej nocy (kilku wieków?).

- Chyba uratowałem świat - stwierdza w końcu z uśmiechem i zwleka się z łóżka, aby przygotować się na zajęcia.



KIWI

Sala była pełna. Zajęte wszystkie miejsca siedzące, wielu ludzi stało. Naprawdę wszyscy oni przyszli, żeby oglądać mnie? To nie pierwszy raz, pewnie nie ostatni, ale za każdym razem zadaje sobie to samo pytanie. Dlaczego? Dlaczego ci wszyscy ludzie siedzą tutaj, chcąc nauczyć się, co zrobić z własnym życiem. Nie wiem. Ale oni to wiedzą. Tylko do tej pory nie zdawali sobie z tego sprawy. Ja kiedyś też nie. Potrzebowałem raka, by zrozumieć, co w moim życiu jest najważniejsze. Mam nadzieję, że im wystarczę ja. Wiele osób mówiło mi, że mam ogromne szczęście, że z tego wyszedłem. Nie do końca się z nimi zgadzam. Według mnie miałem szczęście, że zachorowałem. Bo gdyby nie to, nigdy

nie zdałbym sobie sprawy, jak wielkim darem jest to, że żyję.

Nie pamiętam, kiedy wykryto u mnie raka. Tak, wiem, wszyscy ludzie, gdy piszą o czymś takim zaczynają od słów: „Doskonale pamiętam ten dzień”. No trudno, ja nie zacznę. Jasne, pamiętam to, że jakiś lekarz podszedł do mnie i powiedział: „Wykryliśmy u pana złośliwy nowotwór płuc.”, ale jakoś nieszczególnie się tym przejąłem. Serio. Kiedy to mówię, ludzie patrzą na mnie jak na idiotę i myślą sobie, że chyba przez tę chorobę postradałem zmysły. Sam czasem to podejrzewam, ale lekarze kategorycznie odrzucają taką możliwość. Byłem biznesmenem, od rana do nocy pracowałem i myślę, że po prostu nie chciałem dopuścić do siebie tej wiadomości. Miałem pewnie nadzieję, że jeśli ja zapomnę o nowotworze, to on zapomni o mnie. O dziwo tak się nie stało. Choroba w końcu zwała mnie z nóg i musiałem pójść do szpitala. Lekarz, który mnie przyjmował, gdy zobaczył wyniki badań, postukał się znacząco palcem w czoło i powiedział, że z czymś takim to ja powinienem przyjść co najmniej rok temu. Wyraził również swoje zdziwienie w kwestii mojego nazbyt długiego żywota oraz dość spore wątpliwość w sprawie dalszego. Nie powiem, żeby mnie jakoś specjalnie pocieszył. Co było potem? To, co zazwyczaj dzieje się w takich przypadkach. Wylądowałem na oddziale onkologicznym, miałem miliony chemioterapii, czułem się okropnie (a wyglądałem jeszcze gorzej). Ale to wszystko zupełnie nie ma znaczenia. Naprawdę. Wydaje mi się, że mógłbym przejść przez to wszystko i nie zmieniałbym w swoim życiu nic. Tak naprawdę ja dalej nic w nim nie zmieniłem. Zrobiła to pewna mała dziewczynka. Nie wiem, jak miała na imię, bo znaliśmy się tylko jeden dzień. Leżeliśmy na jednej sali. Szpital był przepełniony, brakowało łóżek, więc na

jakiś czas byłem w sali dziecięcej. Moim zadaniem nie była ona jakoś szczególnie dziecięca, skoro było w niej tylko jedno dziecko - uroki rodzimej służby zdrowia. Z początku nie byłem tym zachwycony. Myślałem, że dzieci cały czas piszczą i krzyczą. Ta dziewczynka była inna. Zaprzyjaźniliśmy się. Może to głupio brzmi, ale tak było. Rozmawiałem z nią bardzo długo, ale jest jedna rozmowa, którą szczególnie zapamiętałem:

- Zawsze bałam się spróbować kiwi-
powiedziała mała.

- Dlaczego?

- Bo wygląda jak pajak - jest całe włochate-
odrzekła z dziwnym wyrazem twarzy.

- Aha- krótko skwitowałem, nie wiedząc
cóż rzec...

- Ale niedawno dowiedziałam się, że umrę.
Podśluchałam, jak mama rozmawiała
z panem doktorem. Wtedy zjadłam kiwi.

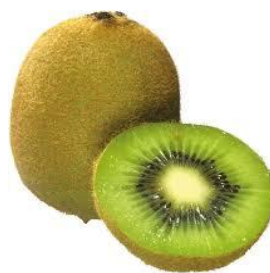
I wiesz co? Teraz jest moim ulubionym
owocem. Nie rozumiem, dlaczego
wcześniej go nie lubiłam.

Po tym wyznaniu zapadła w sen, na jej
twarzy zagościł dziwny wyraz, ni to
smutek, ni to radość...

Zaraz po tej rozmowie, zabrano mnie na
inną salę, a tej dziewczynki nigdy więcej
nie zobaczyłem. Później dowiedziałem się,
że umarła. Mnie też lekarze nie dawali
dużych szans. W końcu jednak z tego
wyszedłem i wróciłem do domu. Wtedy
zrozumiałem, że muszę coś zmienić.

I zmieniłem...

Stoję przed tłumem ludzi, którzy
wierzą, że w czymś im pomogę. Ja też w to
wierzę. I pamiętajcie: Kiwi zawsze będzie
pajakiem, dopóki się go nie oswoi.



(Ada Bator, I „a”)

„POLSKI W SZKOŁACH”

(HISTORIA OPARTA NA FAKTACH)

Był piękny, wiosenny poranek. Dzień zacząłem standardowo od śniadania. Pomyślałem: „jak to dobrze, że dziś nie ma tego okrutnego, żenującego przedmiotu, o którym można mówić godzinami, jednak ja skrócę swoje cierpienia i powiem: „język polski”.

Wyszedłem z domu w podskokach i uradowany pobiegłem do szkoły. Na wejściu nie ujrzałem nikogo, oprócz tej wstrętnej, paskudnej i przerażającej istoty zwanej polonistką. Jej szyderczy uśmiech wprowadzał mnie w niepokój i niepewność. Podniosła chudą, lepiącą się od potu rękę i wskazała na mnie długim kościstym palcem. Po jej odrażających oczach widać było, że wydarzyło się coś złego. Nagle ryknęła okrutnym śmiechem. Przerażenie nie pozwalało mi poruszyć się nawet o krok. Żyłka na jej czole wyglądała jak żmija, która chce cię oplątać wokół tułowia i wbić swe ostre jak brzytwa kły w twój mały, wąty kark. Wreszcie polonistka otworzyła usta, a z nich wydobył się odór niczym zapach zgniłego ludzkiego ciała. Usłyszałem tajemniczy, wręcz przerażający szept:

- Kogo ja widzę? Czy panicz usłyszał już tę jakże ciekawą informację?

Jednak ja nic nie odpowiedziałem, gdyż zaschło mi w gardle od widoku jej twardych i suchych jak siano włosów. Powtórzyła pytanie, lecz tym razem nie czekała na odpowiedź:

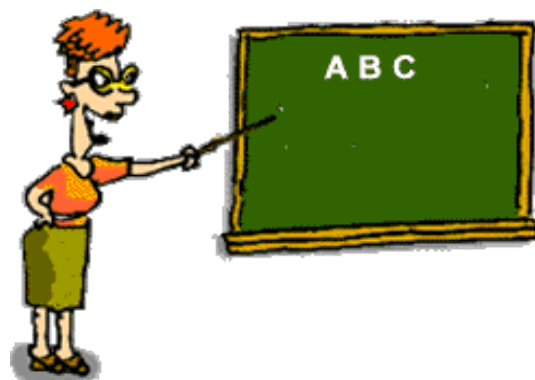
- Jakiż zbieg okoliczności, że akurat dziś wszyscy nauczyciele się rozchorowali, a ja jestem zdrowa jak ryba. No więc nie domyślasz się pustogłowi, że będziemy mieć ze sobą, aż 8 lekcji? Jakież to zabawne...

Jej szyderczy uśmiech wyrażał wszystko – 3 prace pisemne, odpowiedź ustna i oczywiście niezapowiedziana kartkówka w formie sprawdzianu. Przecież można tak robić...

Byłem zrozpaczony. Stałem już od dobrych 5 minut, wpatrując się w jej przeraźliwe, pełne czerwonych żyłek oczy. Gniew rozsadzał mnie od środka, jednak wobec polonistki byłem bezradny. Szybko odwróciłem się i ruszyłem w stronę drzwi. Z wielkim trudem nacisnąłem klamkę, lecz nie ruszyły się nawet o centymetr. „A to paskudna, przebiegła jędra. Zamknęła je kiedy byłem odurzony jej zapachem...” – pomyślałem. Nagle ciarki przebiegły mi po plecach. Włosy zjeżyły się na głowie, a serce zamarło w mojej piersi. Poczułem na karku zimny i ostry dotyk paznokcia pani od polskiego. Nie wytrzymałem. Ryknąłem płaczem. Pełen rozpacz i irytacji usiadłem w kącie. A ona dumna, że doprowadziła mnie do stanu bliskiego śmierci, huknęła śmiechem plując na wszystkie strony.

Nadzieja na dwóję z języka polskiego dawno minęła... Pozostaje tylko walczyć o lepszą ocenę w kolejnym roku (powtórzonym rzecz jasna).

(Szymon Frączek, Karol Musiał, I „b”)



<http://old.splekisko.pl/rozne/kolka/jezpolskiego.htm>



Bajkę prawdę ci powie...

Praca popłaca



Małe pszczołki w żółtym ulu,
Na zielonej łące.
Co rano wstawały w bólu.
Niewyspane i „umierające”.
Królowa pszczoła ganiała je do pracy
Już szósta, wstawać rodacy!

Pszczołki wciąż kombinowały
Do pracy wziąć się nie chciały.

Jedną bolał brzusek, rano
Druga ma katarek,
Trzecia chore ma kolano,
A czwartej nie działa zegarek.

Królowa zachęca- wylećcie choć na chwilę.
Teraz kwiaty pachną pięknie i mile.

Pszczołki pomyślały troszeczkę.
-Dobrze polecimy na wycieczkę

Pszczoły latają, oglądają,
Przy okazji nektar zbierają.

Wieczorem w ulu nektar oddały,
okazało się, że cały słoik zebrały.

Morał z tego taki:
Praca popłaca dzieciaki!

(Emilia Sośnik, 5 „a”)

Motyl i ćma

Był sobie raz motyl, piękny i kolorowy. Latał po łące i nie zważał na nikogo. Wszyscy podziwiali go i chwalili, a on z dnia na dzień robił się coraz bardziej pyszny. Spotkał raz motyla ćmę i tak do niej mówi:

-Aniś ty kolorowa, ani pięknie nie lataasz. Po cóż to żyjesz na świecie?

Ćma przeleciała dwa kółka i odpowiedziała:

- Cóż z tego, że jesteś kolorowy i pięknie lataasz, skoro nic innego nie robisz?

Motyl oburzony krzyknął w locie:

-Ty obijasz się ciągle i nawet życia nie umilasz!
Następnego dnia motyl przelatując obok mrowiska zauważył ćmę pracującą razem z mrówkami. Przeniosła ona patyki i igły sosnowe na nowy kopiec. Motylowi przykro się zrobiło, że wczoraj osądził ćmę tak niesprawiedliwie.

MORAŁ: Nie osądzaj nikogo po wyglądzie.

(Lama pisarka)



„Koty i mysz”

Gdzie dwóch się bije,

Tam trzeci korzysta.

Dwa koty, Rudy i Czarny, na myszy polowały.
Widzą, tłusta, szara myszka z norki wychodzi.
Zacząły się i już ją złapać chciały, lecz każdy z nich zobaczył nagle drugiego. Klócić się zaczęły, do kogo ma należeć ofiara:

- Ja ją pierwszy zauważyłem! – krzyknął Rudy.

- Nie, ja! – odkrzyknął mu Czarny.

- Ale ja tu zawsze poluję, a nie ty!

- Nie, ja! Tu łowili moi dziadkowie.

Kłótnia trwałaby jeszcze długo, ale koty, stworzenia z natury małowówne, szybko przeszły do czynów. Trach! Ciach! Bić się zaczęły. Lecz tu nagle, niespodziewanie z zarośli wyleciał orzeł i porwał przestraszoną mysz.

- Dziękuję za łatwy łów, koledzy – zaśmiał się.

- Jeszcze pożałujesz ptaku! – odkrzyknął Czarny.

- My się jeszcze policzymy! – odpowiedział Rudy.

I prawda z tej bajki jest oczywista: gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

(Konstancja Kozińska, 5 „a”)



Spółka

Raz wąż i mysz spółkę założyli.

Mysz była chciwa i naiwna, wąż zaś sprytny i podstępny. Współpraca ich polegała na tym, że mysz, z pozoru naiwna, miła i delikatna, zwabiała nieszczęśników do nory węża, w której kończyli swój krótki żywot. Mysz w zamian była bezpieczna. Tak się jej przynajmniej wydawało. Pewnego dnia przyszła do swego współnika w przekonaniu, że jak zawsze jest bezpieczna i nic jej nie grozi. Gdy weszła do środka, wąż nie czekał. Złapał mysz na raz do pyska.

(Paulina Völker)

Studia

Mieszkali dwaj studenci w krakowskim akademiku, wrzaskliwych kłótni było tam bez liku. Student pierwszy raz komputer zablokował, za co drugi drzwi do łazienki zabarykadował. Wtedy student pierwszy książki mu potargał, wtem drugi oryginał dyplomu mu zabrał. Dopiero gdy razem pożar rozpętali i żadnych zeszytów już nie odzyskali, po rozum poszedłszy do głowy zrozumieli, że zgoda buduje, a niezgoda dzieli.

(Krzysztof Pęczek, I „a”)

Kot i pies

Rudy kot, który bardzo lubił wchodzić na płot raz pewnego wdrapał się na wieżę kościoła bardzo wysokiego.

Siedzi dumny na szczycie
i ogląda okolice w zachwycie.
„Żaden pies mnie tutaj nie dopadnie,
a i smaczny obiad w łapki wpadnie”.

Nagle wielki problem się wytoczył,
jak nasz kotek teraz zejdzie?
Może po kościelnym dachu zjedzie?
Miałczy, płacze i zawodzi
Nawet panu Bogu grozi.

Wtem pies Ciapiek, wróg największy z dala idzie
„Pomóż Ciapku, noc już idzie” – miałczy kotek
Ciapiek zawsze chętny do pomocy – nigdy kotom
rzucił się na przekór nocy
do remizy strażackiej
podniósł alarm”
„kotek rudy w wielkiej jest potrzebie”

Strażacy prędko do kościoła jadą,
wszyscy się za nimi oglądają,
ci na miejsce szybko docierają
i biednego kota z wieży ściągają.

Po tym wydarzeniu kot i pies
stali się najlepszymi przyjaciółmi.
No a morał z bajki taki:
„Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie”.

(Jakub Stanek, I „a”)





(Agnieszka Zając, I „a”)

Lirycznie...

„Między światami”



wolna, lecz w klatce
jestem jak ptak
kraty są mocne
a klucza... brak...?
nikt nie zdoła, nikt nie da rady
zburzyć tych Murów, wyważyć Drzwi
uwięziona w ciemnej Sali, zaplątana w me
sny
uleczyć może mnie Jej światło
węzły i sznury, co dzielą nas
nie chcą darować żadnego spotkania
słyszę dudniący Czas...
cholerny rycerz, tępi miecz każdy,
warstwową chustką smutek wyciera,
w fontannach łez topi monety -
Nadzieja wraz z Nim umiera,
lecz doczekałam się dnia,
gdy przyszło me Wybawienie
Topory, co zniszczą Mury
pozwolą usłyszeć Jej tchnienie...
już wyciągają ku mnie
swoje szpiczaste ramiona
Cierpienie? - to nie jest ważne...
przecież nań czeka Ona
zmarnowałam energię
na tej ciągłej tęsknocie
teraz, gdy leżę obok
poszarpana na krocie...
nie widzę i nie patrzę,
nie czuję i nie szlocham
jedno, co wiem na pewno
to, że Ją ciągle Kocham.

„...”

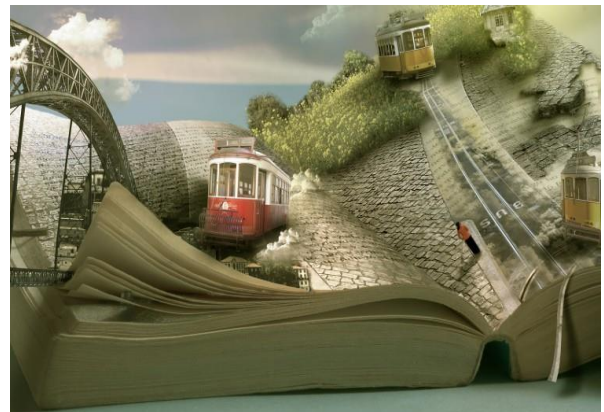
Wyschnięty krzyk Afryki otulony głodem
Zbyt jasny pocałunek świstem kul
przerwany
Czarna dama na ulicy z pustym oczodołem
Klniesz, szukając skarpetki do pary...



List do ludożerców

Kochani ludożercy jesteście ludźmi. Nie
zjadajmy
się nawzajem, bo nie przetrwamy. Każdy ma
prawo na wolne miejsce w tramwaju, czy
autobusie. Inni też są zmęczeni, chcą usiąść.
Tak samo mamy tyle obowiązków, stresów i
Zmartwień. Są ludzie słabsi i wrażliwi.
Nie wykorzystujcie ich słabych punktów.
Kochani ludożercy nie bądźcie źli i szanujcie
innych.
Nie mówcie do nich z wrogością, ani z
nienawiścią
Podając sobie ręce. Każdy ma prawo do życia.
Jest wiele miejsca na tym świecie. Ja i ty
Możemy mieszkać obok siebie. Okazujmy
sobie
Szacunek miłość i życzliwość. Gdy będzie
między
Nami zgoda będziemy ludźmi szczęśliwymi.

(Karolina Surmacz, 6 „a”)



<http://www.gazetamiedzyszkolna.pl/tag/poezja/>

MOC SŁOWA...

„Dobre słowo”

Szczery uśmiech
Jest lepszy od leków
„Wszystko będzie dobrze”
Wlewa otuchę do serca
Śmiać się z kimś nie z kogoś
To więcej niż pomagać.
A gdy będziesz to robić z dobroci
To nikt Ci w tym nie dorówna,
Byłaby to rzecz bardzo trudna

(Gabriela Uchwat, V „a”)

-Nie jestem tą, której ty szukasz.
Spojrzał na nią, szepnęła... Łukasz?

On na jej słowo odpowiedział nieśmiało:
-Ależ się mylisz, serce me zadrżało.
Dziewczyna zawstydzona popatrzyła na
niego,
Nie spodziewała się teraz uśmiechu jego.

Jesteś piękna, nikt i nic tego nie zmieni,
Podejdź do mnie, pójdziemy na krańce
ziemi.
Zabiorę Cię w podróż drogą daleko,
Będziesz już moją kochana Żaneto.

(Karolina Ćwierz, IV „a”)

„Jedno słowo”

Gdy wypowiem jedno słowo
To historię mam gotową
Nie myśl jednak dziś mój bracie,
że historia ta o tacie

Lecz o mowie tej co tworzy zbiór
Zbiór symboli wśród przestworzy
stwarza łąki, lasy, rzeki
czasem leśne też pasieki

Gdy wypowiem więc to słowo
To historię mam gotową
Lecz za każdym innym razem
Tworzy ją już inne słowo

(Dominik Ryk, VI „a”)

„Jesteś piękny”

Wydawał się martwy,
Choć słońce
Codziennie
Całowało jego
Zielone ręce.
Smutno zawiesił głowę,
Choć co wieczór
Woda obmywała jego
Jedyną stopę.
Nie uśmiechał się
Mimo, że motyle
Delikatnie łaskotały
Go po policzkach.
Jesteś piękny
-szeptałam z zachwytem.
Ożył!

(Julia Gąsiorowska, IV „a”)

„Dobre słowa”

Siedziała nad rzeką i cicho szlochała,
Aż on do niej podszedł. A ona
powiedziała:



<http://www.slowomamoc.pl/>

WITAJ WAKACYJNA PRZYGODO!

- fragmenty dzienników z podróży klasy 5 „a”

25.12.2015 r.

Dziś wyruszamy na wyprawę. Chcemy przejść przez dżunglę i dojść do źródeł Amazonki. Nie bierzemy dużo bagaży, aby nas nie obciążały. Prowiantu powinno wystarczyć.

26.12.2015 r.

Pierwszy dzień naszej wyprawy. Zjedliśmy śniadanie i wyruszamy na północ. Na razie nie napotykamy na przeszkody. Wszyscy mamy nadzieję, że tak będzie dalej.

27.12.2015 r.

Drugi dzień wyprawy i już zawitały kłopoty. W nocy połowa prowiantu została porwana przez małpy, dopiero rano zobaczyliśmy nasze zapasy na drzewie. Musimy zdobyć więcej pożywienia, bo nie wystarczy nam na całą wyprawę. Teraz kierujemy się na bardziej bagnisty teren...

(Magdalena Wronka)

Poniedziałek, 16 lipca 1974 r.

Pierwsza noc za nami, powoli zbliżamy się do celu wyprawy w Puszczy Amazońskiej. Pogoda jest idealna. Na razie przebyliśmy 1048 km w jeden tydzień. W wyprawie uczestniczy znany archeolog i poszukiwacz skarbów, Adam Małyszowski, wolontariusz Krzysztof Radłowski, pomocnik medyczny – Szymon Kwiatkowski oraz ja, przewodnik i głównodowodząca ekspedycją, Marcelina Buczek.

Środa, 18 lipca 1974 r.

Dotarliśmy do celu. Za nami rozciąga się nieskończenie długi krajobraz traw, tropikalnych drzew, egzotycznych owoców, dzikich zwierząt, innymi słowy – dżungla. Robi się coraz niebezpieczniej, gdyż za nami podąża grupa groźnych bandytów, którzy pragną zdobyć legendarną figurkę złotego bożka Majów. Za chwilę ruszamy w dalszą drogę. Musimy się spieszyć. Depczą nam po piętach!...

(Marcelina Buczek)

20.05.2010 r.

To już trzydziesty dzień naszej wyprawy do starożytnej świątyni. Wydaje mi się, że chodzimy w kółko. Dwa dni temu Adam zgubił mapę, która miała nas tam zaprowadzić. Zaczyna nam brakować wody. Nie wiem, czy odnajdziemy drogę do świątyni. [...]

22.05.2010 r.

Idąc odnalezioną wczoraj ścieżką, trafiliśmy do wioski Indian. Na szczęści byli nastawieni pokojowo. A co więcej, pokazali nam drogę do źródła. Po południu musieliśmy się zatrzymać i zawrócić, bo drzewa rosły tak gęsto, że nie dało się przejść.

23.05.2010 r.

Adam znalazł kamienną tablicę, na której widniał napis: „Strzeż się przybysza z dalekich stron. W świętym miejscu od teraz jesteś. Cokolwiek zrobisz, bądź ostrożny, bóg Hunab Ku zawsze ma otwarte oczy”. To oznaczało, że świątynia jest blisko. Trzeba mieć się na baczności. [...]

(Gabriela Uchwat)



Środa, 5 marca 2015 r. (1 dzień przed lotem w kosmos)

Wstałem o 5.30 na trening. Ćwiczyłem przez trzy godziny, potem zjadłem zdrowe śniadanie. O 11.00 pojechałem do bazy NASA. jeszcze raz obejrzałem statek i ekipę. Przećwiczyliśmy startowanie i lądowanie na symulatorze. [...]

Piątek, 7 marca 2015 r.

Skończyłem wartę i obudziłem wszystkich. Mieliśmy zbadać asteroidy i zostawić robota. Meteoryt uszkodził jedną z naszych anten i straciliśmy kontakt z bazą. [...] Mamy jednego pilota mniej. Wlecieliśmy w pasmo asteroid i wylądowaliśmy...

(Stanisław Miśniakiewicz)

piątek, 24 lipca 2015 r.

Od godziny 9.00 pakujemy się na wyjazd do jaskini Krubera. Zawsze chciałam tam pojechać i zejść niżej niż kiedykolwiek. Na wyprawę wyruszamy jutro. [...]

poniedziałek, 27 lipca 2015 r.

Codziennie schodzimy dalej. Dzisiaj dotarliśmy do ściany pokrytej śpiącymi nietoperzami. Rodzice poszli prosto, a ja weszłam do grotu. Było tam pięknie i jasno. Zobaczyłam stalagmity i stalaktyty, w których odbijało się światło z lampy naftowej...

(Agnieszka Dudek)



Dzień 1.

Wypłynęliśmy z portu statkiem na otwarty ocean. Zapowiada się długa, pełna przygód wyprawa. Wszyscy marynarze są zachwyceni. Naszym celem jest odnalezienie Atlantydy. [...]

Dzień 5.

W nocy zaatakowali nas piraci. Ja i wszyscy żeglarze zostaliśmy wzięci do niewoli, musieliśmy być posłuszni. Płynęliśmy pod ich rozkazami. Zobaczyliśmy wyspę. Kazali nam zejść z pokładu i szukać pożywienia. Ukryliśmy się w jaskini i obserwowaliśmy, co się dzieje na statku. Piraci po kilku godzinach poszli nas szukać. Wtedy wróciliśmy szybko na okręt i odpłynęliśmy bez nich...

(Jakub Połec)

Poniedziałek, 20.07.2015 r.

Świeciło słońce i było nieznośnie gorąco. Weszliśmy do dżungli Gumowych Sprężyn. Od razu się ochłodziło. Zamiast drzew rosły tam gumowe sprężyny. Nie wiedzieliśmy, co robić. Każdy z nas obawiał się, że za chwile wyskoczy jakieś zwierzę i nas pożre. [...] Postanowiliśmy trzymać się razem. Nagle jedna ze sprężyn zaczęła się chwiać na wszystkie strony. Zamarliśmy ze strachu. Po chwili wyskoczył zza niej sprężynowy stworek. Staliśmy nieruchomo, patrząc dziwnemu stworzeniu prosto w oczy. Miało ono krótkie sprężynowe rączki, ciało z jednej dużej, kolorowej sprężyny, a nóg nie miało wcale. Stworek zrobił taki ruch ręką, jakby chciał nam powiedzieć, że mamy za nim iść. Posłuchaliśmy go. Szliśmy przez sprężyny, skakaliśmy nad sprężynami, chodziliśmy obok sprężyn i... Wpadliśmy do wielkiej dziury ze sprężynami! Małe stworzenie uciekło.

A przynajmniej tak myśleliśmy...

(Urszula Wójtowicz)

Piątek, 4 sierpnia

Przeniosło nas do dziwnej krainy, gdzie czas płynie do tyłu. Nasze zegarki powariowały i nie wiedząc, która jest godzina, z uporem stały w miejscu. Nie wiemy, gdzie jesteśmy i co mamy robić. Nasz pies, Baster, z uporem kręci się w kółko, czyli po prostu goni swój ogon. Rozbiliśmy namiot, może następny dzień przyniesie dobre nowiny...

(Amelia Mikulska)

24 lipca 1533 r.

Płyniemy już tak trzeci dzień, a według mapy powinniśmy już dawno być u celu. Morze jest bezkresne i nie ma żadnych chmur. Co się dzieje? Nagle wzmaga się wiatr! Czy zbaczamy z kursu? Nasz statek tonie?

25 lipca 1533 r.

Morze wyrzuciło mnie na brzeg. Czyżbym tylko ja ocalał? Obok mnie było pełno ciał, pobiegłem do kapitana, nie żył. Szybko pomyślałem, że może ktoś ocalał na statku i potrzebuje mojej pomocy. Nie było łatwo dostać się na wrak frachtowca. [...] Gdy w końcu dotarłem na okręt, zajrzałem do kajut – istne składowisko trupów. Zapadła noc...

(Szymon Michałowski)

UDANYCH WAKACJI ŻYCZY REDAKCJA „SIEDLISKA”!



Stopka redakcyjna - koło dziennikarskie Zespołu Szkół Sióstr Nazaretanek w składzie: Monika Czopik, Agnieszka Dudek, Konstancja Kozińska, Julia Libera, Ewa Niemczycka, Zuzanna Rabajczyk, Karolina Surmacz, Wiktor Szydłowski, Gabriela Uchwat, opieka: Dorota Kaczmarczyk